



onlineportret

# Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy...

Cywilizacja dała ludzkości niewątpliwie wiele dobrego. Penicylinę, Internet czy Elvisa Presleya. Jednocześnie jednak zabrała nam czas, skazała na pracę z maszynami, zastąpiła realny kontakt szklanym ekranem komputera czy telefonu komórkowego. I wreszcie odebrała miłości coś, co było w niej najpiękniejsze – poetycką wzniosłość. Nader trudno jest znaleźć na półkach polskich księgarń współczesną powieść, opowiadającą o miłości dojrzałej, nieskazitelnej i wiecznej. Odeszli w zapomnienie kochankowie z kart utworów Szekspira, Rousseau czy Marqueza. Królują za to wycofani ze świata wzniosłych uczuć bohaterowie, którzy traktują zakochanie niezwykle instrumentalnie. Trochę więc na przekór Mario Vargas Llosa poświęcił swą ostatnią książkę „Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki” pięknej, aczkolwiek jednostronnej, miłości.

Zdaniem Llosy miłość w społeczeństwie konsumpcyjnym nadal odgrywa ogromną rolę, tyle że nabrała cech, jakich nie miała wcześniej. Trudno się oczywiście z pisarzem nie zgodzić. Prawdą jest bowiem, że współczesnej miłości bliżej do romansu z telenoweli niż do opowieści o Romeo i Julii. Można nawet stwierdzić, że prawdziwej miłości już nie ma. A każdy wyjątek potwierdza tylko smutną regułę. Tymczasem najnowsza książka peruwiańskiego pisarza przeczy ponurej rzeczywistości. Przeczy nawet podwójnie, bo nie tylko pokazuje człowieka zdolnego do największych poświęceń w imię miłości, nawet do zatracenia samego siebie, ale też dlatego, że tym człowiekiem czyni mężczyznę.

Bohater „Szelmostw...” to na pierwszy rzut oka typowy everyman, człowiek-każdy bez szczególnych ambicji, ani piękny, ani bogaty. Ricardo Somocurcio – bo o nim mowa – to Peruwiańczyk z wyższej klasy średniej. Jego największym marzeniem było zamieszkać w Paryżu i tam dokonać kresu swego żywota. By osiągnąć ten cel został tłumaczem. Na jego poukładane życie położyło jednak cień dziwne, wręcz graniczące z chorobą uczucie.



34  
onlineportret

Wszystko zaczęło się niewinnie – mały Ricardito jeszcze, kiedy mieszkał w Limie, poznał przepiękną Lily. Dziewczynkę inną niż wszystkie. Uwodzicielską, dowcipną i oryginalną. Jak się potem okazało, ta niewinna nastoletnia istotka już wówczas oszukiwała wszystkich wokół. Przedstawiała się jako cudzoziemka z Chile, a była po prostu córką sprzątaczkę, która nigdy poza Limę nie wyściubiła nosa. Nie zmienia to jednak faktu, że miłość do „Chilijeczki” będzie Richardowi towarzyszyć przez następnych 50 lat, stanie się nie tylko jego nieszczęściem, ale wręcz obsesją. Ale po kolei. Po wyjeździe do wymarzonego Paryża Somocurcio rozpoznał dawno niewidzianą Lily (po tym jak została zdemaskowana jako fałszywa Chilijka zniknęła na kilka lat z życia Ricardo) w osobie działaczki Ruchu Lewicy Rewolucyjnej Arlette. Wówczas nawiązał się między nimi romans. Romans trwający z przerwami 40 lat. Mała „Chilijeczka” pojawiła się bowiem w życiu szaleńczo w niej zakochanego mężczyzny kilkakrotnie. Jako madam Arnoux, Mrs. Richardson, czy Japoneczka Kuriko. I za każdym razem porzucała go, bo, jak mówiła, zabija ją rutyną i przeciętność.

„Szelmostwa...” to powieść niezwykle zharmonizowana. Llosa w każdym rozdziale opisuje odrębny okres życia swojego bohatera – zaczynając od jego dzieciństwa, na średnim wieku skończywszy. W różnych fazach życia Ricardo zmieniają się: moda, realia polityczne, a nawet jego najbliższe otoczenie. Jest tylko jedna stała – „Chilijeczka”, pojawiająca się niczym pożar w życiu stabilnego, można wręcz rzec nudnego, bohatera. Femme fatale z najnowszej książki autora powieści „Pantaleon i wizytantki” przypomina ogień również dlatego, że niczym żywioł niszczy wszystko, co stanie jej na drodze (w przypadku biednej Peruwianki to Ricardo był przeszkodą do szczęścia – wielkich pieniędzy).

Powieść „Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki” Mario Vargas Llosy, wbrew pozorom, nie jest zwykłym romansem. Choć opowiada o miłości, robi to w sposób niekonwencjonalny. Zdarzały się już bowiem w literaturze książki opisujące niezwykle oddanie mężczyzny kobiecie (choćby niezapomniany Werter), ale stereotyp niewiasty całującej

stopy partnera, tylko za to, że istnieje, wciąż jest wyjątkowo silny. Autor „Ciotki Julii i skryby” stara się ten stereotyp przełamać. Pokazuje cierpiącego mężczyznę i zimną, wyzutą z uczuć kobietę, dla której dom i bezpieczeństwo to coś, o czym nie tylko nigdy nie marzyła, ale wręcz coś, co zawsze napawało ją obrzydzeniem. „Szelmostwa...” to książka wyjątkowa z jeszcze innego powodu. Rzadko bowiem zdarza się tak, by osoba kochająca mimo wszystkich krzywd, jakie doznała od obiektu swego uwielbienia, nadal była jej uczuciowo wierna. A z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w najnowszej książce peruwiańskiego pisarza. Ricardo zakochany bez pamięci w „Chilijeczce” nie tylko próbuje popełnić samobójstwo, kiedy ukochana po raz kolejny go porzuca, ale niezależnie od tego, jak podle potraktowała go wcześniej, jest jej w stanie zawsze wybaczyć. O ile takie zachowanie człowieka szaleńczo zakochanego można racjonalnie wytłumaczyć, o tyle nie da się już wyjaśnić w sposób rzeczowy, dlaczego biednego Ricardo niezależnie od tego, gdzie się pojawi, w Londynie, Tokio czy Madrycie, zawsze dosięgnie kataklizm w postaci „Chilijeczki”. W taki zbieg okoliczności czytelnik, nawet przy ogromnym akcie dobrej woli, nie jest w stanie uwierzyć. Nie mniej jednak należą się Llosowi brawa. Peruwiański pisarz dokonał bowiem fenomenalnej sztuczki, wręcz majstersztyku. Sprawił, że czytelnik nie nudzi się przy jego książce nawet przez minutę. Co więcej, z niecierpliwością czeka na następny rozdział i z wypiekami na twarzy zastanawia się, jakie jeszcze upokorzenie będzie w stanie wytrzymać główny bohater. A może w końcu wyrzuci „niegrzeczną dziewczynkę” ze swojego życia? Zamknie przed nią drzwi? Przystać ją kochać? I tak przez 300 stron książki...

Mimo opinii krytyków, że najlepszy czas Mario Vargas Llosa jako pisarza już się dawno skończył, nie ulega wątpliwości, że Peruwiańczyk umie sprostać oczekiwaniom czytelników. A to i tak oni, a nie krytycy, są na rynku wydawniczym najważniejsi.

Mario Vargas Llosa,  
Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki,  
tłum. Marzena Chrobak,

Wyd. Znak,  
Kraków 2007.

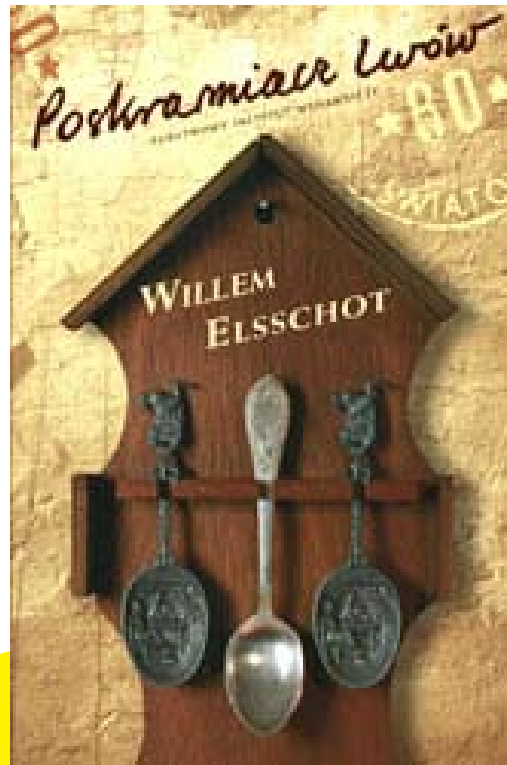
# Mój dziadek powiedział...

Nie mówi dużo. Jest silny, pewny, dyskretny, mądry, jak... jak słoń. Jak tur. Jak lew! Dziadek. Głowa rodziny, nestor, pierwszy wśród pierwszych. Któż może pokonać lwa, ukoić jego ryk autorytetu, znieść władzę rodzimego Króla Zwierząt? Kto będzie Poskramiaczem Lwa? Ktoś najmniejszy, kto jeszcze nie potrafi mówić, kogo trzeba nosić, kto samym pojawieniem się na świecie łamie dotychczasowy porządek. Wnuk.

Niejeden dziadek mógłby opisać ów przełom swego życia – pojawienie się najważniejszego gościa rodziny, swego najmłodszego a pierwotnego postpotomka. Podobno uczucia budzące się w dotychczas niepodzielnym władcy rodu są zawsze jednakże: pragnienie ustąpienia przed niewyobrażalną słabością, przed istotą krańcowo zależną i przez to niezwykłą. Flamandzki klasyk, Willem Elsschot (w rzeczywistości Alfons de Ridder), w dyptyku powieściowym „Poskramiacz Lwów” opisał taką właśnie rewolucję – ów proces zakończony spontaniczną abdykacją starego władcy na rzecz nowego...

Lata 30-te dwudziestego wieku. Najpierw w spokojnym, harmonijnym życiu statecznego ojca rodziny, Fransa, pojawia się obcy agresor: kandydat do ręki córki Adeli – i to naprawdę „obcy”, skoro „wszyscy Belgowie są chłopakami z okolicy”. Ten nowy to nie-Belg! – jest dziwny, odmienny zachowaniem, kulturą i religią, kompletnie niegodny uwagi jego słodkiej, niewinnej i pięknej córki. Ten Polak! – a Polakom i Belgom tak daleko do siebie, i to pod każdym względem – z powodu temperamentu narodowego, doświadczenia nabytego przez wieki

historii, przez etniczne kłopoty i uprzedzenia, przez przedziwne zbiorowe, np. kulinarne, upodobania, czy poglądy polityczne. Zięć, „na którego nie ma sposobu”, niewygodny, taki inny – bo całuje rękę kobiet jak Najświętszy Sakrament, a pije do dna „jak templariusz”. Adela zbyt dobra dla takiego Polaczka. Frans chce dla niej lepszego, bardziej podobnego sobie, męża, a dla siebie tylko chwili spokoju, żeby posiedzieć przy ogniu i wypalić fajkę. A jednak młodzi uparli się i zakończyli wszystko szybkim ślubem i emigracją do kraju słowiańskiego przybysza, Benka. To wszystko od początku do



końca nie podobało się Fransowi, chociaż jednego był pewien, że powstała z tego jedna jedyna doskonałość: wnuk. Ćwirek. Stary człowiek, zaledwie go ujrzał, już na zawsze pochował w sobie wieloletnią powściągliwość myśli, słów i uczuć.

Doprawdy wzruszająca jest obserwacja tego procesu przekształcania się kostycznego domowego kaprała w całkowicie zawojowanego ironicznego poetę życia codziennego. Oto jak mówi o swoim nowo narodzonym poskromicielu: „Oto przybył mój zbawiciel. On sprawi, że odnajdę siebie samego i pogodzę się z samym sobą, i wyleczy z wszelkich dolegliwości. Pozwoli mi odnaleźć to, czego bezradnie szukam w piasku. Zawrę z nim przymierze. Ja będę przechodził bród, a on będzie siedział na moich barkach”.

Ta niemal autobiograficzna historia jest ciepła, lekko szorstka jak dłoń starego człowieka, szkoda, że ten Belg jest w Polsce właściwie nieznanym, choć w swoim rodzinnym kraju zalicza się go do najwybitniejszych postaci literatury flamandzkiej. Kolejnym dowodem kunsztu literackiego Elsschota jest zawarty w „Poskramiaczu” jeden z najpiękniejszych a zarazem najbardziej autentycznych opisów porodu, i to w dodatku z punktu widzenia kobiety! Pisarz zaprezentował też umiejętność literackiego zarysowania zderzenia triumfu młodości z ustępującą mu, zafascynowaną, dojrzałością, co oburzają nawet tytuły minipowieści składających się na dyptyk Elsschota, czyli „Ćwirek” oraz „Poskramiacz Lwów”. Oto główna teza omawianej prozy: opozycja drapieżnika i ptaszka, wróbelka ledwie mieszczonego się w dłoni, który nagle urasta do rangi głównego bohatera. Ćwirek rośnie, mądrzeje i zaczyna dyskutować. I znowu Elsschot wykazuje się ewidentnym talentem w rejestracji autentyzmu i swoistej logiki dyskusji z dzieckiem, gdyż dyskurs dziadka z wnukiem, złożony z łańcuszka pytań i odpowiedzi, to autentyczny majstersztyk.

Polskiego czytelnika z pewnością książka ta

zainteresuje również z powodu swoiście ukazanych przez ironicznego Belga motywów polskich. W tekście nie tylko pojawiają się nazwy polskich miast: Gdańska, czy Gdyni, ale i dość nietypowy (choć nie można powiedzieć, że krzywdzący) komentarz do poczynania państwa polskiego u progu drugiej wojny światowej. Zresztą Frans miał swoje dodatkowe powody, aby ironicznie mrużyć oczy na dźwięk słowa „Polska”: u progu ślubu swej córki zwyczajnie „miał nosa”, gdyż jego kochana Adela „okazała się w tamtej rodzinie tylko gościem”. Polska opisywana oczami starego Belga to, co prawda, kraj w niczym nieustępujący jego ojczyźnie, ale subiektywnie go drażniący eksponowanym (oczywiście poprzez zachowanie zięcia) katolicyzmem oraz bombardujący poczuciem wyższości i nieznośnym przekonaniem o swoim powołaniu dziejowym. „Poskramiacz...” powstał tuż przed II wojną światową, więc mamy w nim również zawarte echa nadciągającej ku Europie katastrofy.

Kończąc, trzeba jednak koniecznie wspomnieć, iż opisany wyżej dyptyk powieściowy to *quasi* autobiografia samego Elsschota, gdyż ukochany wnuk pisarza, Jan Maniewski, rzeczywiście był owocem związku flamandzko-polskiego – a dziś jest lekarzem, mieszka w Antwerpii i zajmuje się spuścizną literacką dziadka. Znaczącym jest, iż nie mówi po polsku i czuje się wyjątkowo związany z rodziną ze strony matki. Dla niego to wiekowy Flamand stworzył najpiękniejsze i najbardziej czułe zdania w swojej powieści. Spokojna, prosta, powściągliwa i kameralna książka.

Willem Elsschot,  
Poskramiacz Lwów, tłum.  
Zofia Klimaszewska,  
PIW,  
Warszawa 2007.

# Powieść (niezbyt) sensacyjna

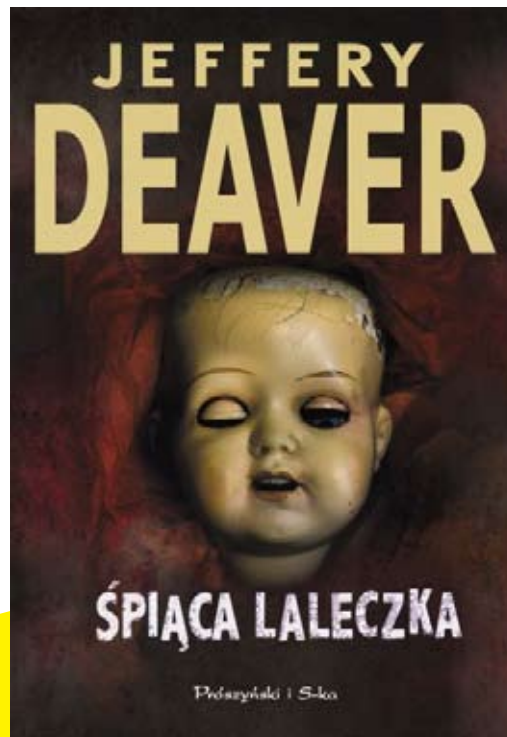


Jednym z najchętniej powtarzanych przez ludzi frazesów jest stwierdzenie „kiedyś było prościej”. Oczywiście, z punktu widzenia filozofów, historyków i ekonomistów jest to banał, slogan i komunał. Odmienne zdanie mogą mieć socjologowie, ale oni, jak powszechnie wiadomo, mają odmienne zdanie prawie zawsze i prawie na wszystko. Z akcentem na prawie. Które robi ogromną różnicę.

Jeżeli jednak chodzi o literaturę, powtarzam ów przytoczony na początku frazes za ogółem. Było prościej. Był zwykły kryminał, albo powieść sensacyjna. Dziś mamy zaś, na fali amerykanizacji języka, tudzież popularności języka angielskiego, „thriller”. I to thriller nie byle jaki. Thriller „psychologiczny”! Bo wszystko, co podbudowane magiczną „psychologią” od razu zyskuje uznanie w oczach czytelnika. Thriller? E, czytało do pociągu. Thriller psychologiczny? A, to proszę bardzo! Nurt ten wydaje się cały czas zyskiwać na sile, o czym świadczą nakłady książek Harlana Cobena, czy Alexa Kavy. W gatunek wpisuje się także Jeffrey Deaver, autor wydanej przez wydawnictwo Prószyński i S-ka „Śpiącej laleczki”.

Nie jestem fanem tego typu literatury. Mówię to, chcąc zachować uczciwość wobec Czytelnika. Powieść sensacyjna wydaje mi się miętka. I „Laleczka” tej mojej opinii nie zmieni. Jest to bowiem książka nierówna. A co gorsze - schematyczna. Momentami wręcz boleśnie. Proszę mnie zrozumieć. Nie chcę tej książki nadmiernie krytykować, ale...

„Śpiąca laleczka” wydaje się być powieścią wtórnego pomysłu. Opowiada o pościgu za zbiegłym z kalifornijskiego więzienia Daniellu Pellu i, ruszającej za nim w pościg, agentce Kathryn Dance. Pell jest zabójcą i to nie byle jakim. Kilka lat wcześniej zabił kalifornijskiego bogacza i całą jego rodzinę, oprócz najmłodszej dziewczynki. Ile już książek i filmów o podobnej tematyce napisano i nakręcono? Dziesiątki? Autor sprawia wrażenie, jak gdyby doskonale o tym wiedział. Ma chyba też, paradoksalnie, graniczące z pewnością wra-



żenie, że czytelnicy i tak to kupią. Stworzone przez niego postaci są nudne, jak flaki z olejem. Nudna jest agentka Dance; sprawiedliwa i szlachetna jak Joanna D`Arc pod Orleanem. Nudni są jej partnerzy i zwierzęta domowe. Nudny jest odelegowany do sprawy agent FBI, Kellog. Najbardziej nudny (jak pociąg relacji Kolno-Żyrardów) jest w końcu Daniell Pell, w roli szatańsko przebiegłego zabójcy, wzorującego się na Charlesie Mansonie. Pell nie budzi sympatii, ani niechęci. To jego najgorsza cecha – on nie budzi żadnych uczuć. Manson XXI wieku, „makiawelliczny zabójca” w wykonaniu Deavera zabija... ale nudą. Gdzie mu do Hannibala Lectera, nieporównanie bardziej mrocznego i przerażającego demona-erudyty z „Milczenia owiec” Thomasa Harris! A jest Pell na nim dość wyraźnie wzorowany, tak jak agentka Dance ma rysy agentki Starling. To jednak zdecydowanie nie ta liga. Harris jest bowiem Mistrzem, a Deaver zaledwie rzemieślnikiem. Nie potrafi też zbudować podobnego jak Harris klimatu, choć się stara. Może to wina miejsca akcji? Lecter nigdy nie udałby się przecież do Kalifornii, pełnej surferów i tandetnych, nadmorskich knajpek.

Taka też jest cała książka. Zwroty akcji są kiepsko pomyślane, akcje policji nie zapierają tchu, a zbrodnie Pella nie porażają. Zakończenie da się przewidzieć po pierwszych 50 stronach. Dobro zatrumfuje, a zło zostanie pokonane przez św. Agentkę Dance na białym koniu.

Doprawdy, więcej nieoczekiwalności jest chyba w rozprawie na temat pszczelarstwa z wczesnego PRL-u. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Deaver wymyślił niektóre wątki na tydzień przed terminem oddania tekstu, czując na plecach oddech swojego agenta.

Raymond Chandler zrobił z kryminału moralitet. Agata Christie grała z czytelnikiem. Harris pokazał zło ciekawe, frapujące. A Jeffery Deaver stworzył czytało dla pasażerów pociągu do Żyrardowa. I to jest w tej książce straszne.

*Jeffery Deaver,  
Śpiąca laleczka,  
tłum. Łukasz Praski,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2007.*

# Wiersze w cenie faworków

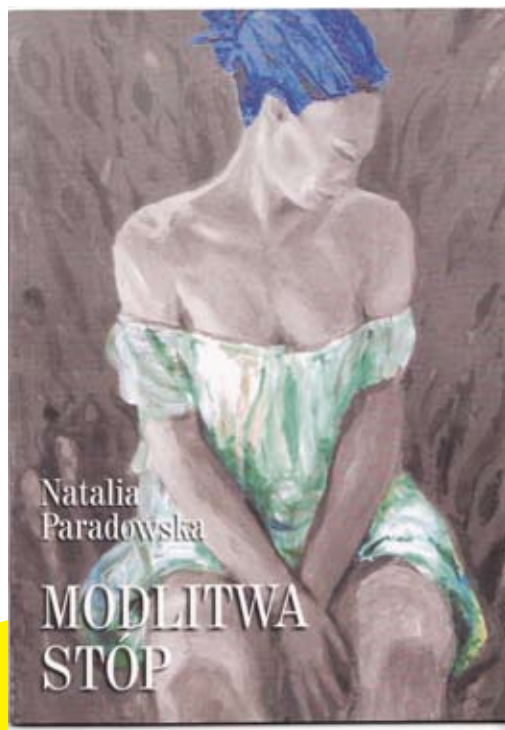
Natalia Paradowska, młoda poetka z Elbląga zdecydowała się na debiut poetycki pt. „Modlitwa stóp”. Stowarzyszenie Elbląski Klub Autorów zaufało i zaryzykowało, bo każdy debiut to pewne ryzyko, opublikować wiersze bardzo młodej dziewczyny, przecież na razie rzadko widzimy rocznik 1988 na swoich półkach z książkami. Z pochwał zamieszczonych na okładce tomiku domyślam się, że poetka jest interesującą osobowością poetycką, która ma świadomość wielu pojęć kulturowych i pisze „dynamiczne, niekiedy świadomie agresywne wiersze”. Takie opinie ustawiają moją świadomość na to, że będę za chwilę obcował z poezją młodej, zbuntowanej i inteligentnej poetki, która mocno uderzy słowem, objawi mi problemy pokolenia, a co więcej – potrafi wnieść dużo ożywczego „światła, za którym tęskni wszystko, co żyje” – jak pisze Juliusz Wątroba.

Okazuje się, że coś z tym światłem jest na rzeczy, ponieważ już sam cytat z Hrynacza na wstępie książki daje do myślenia: „Światłoczułe palce rozkruszą paciorki ciemności”. Tomik podzielony został na dwie części. Pierwsza: Czuwający świetlik oraz druga Kostka Rubika. Wiersze z pierwszej części tomiku nie zaskakują mnie. Nie za dużo tutaj światła, poetka z lubością oddaje wiersze tematowi miłości anaforycznie przypominając ukochanemu, że jest jego aniołem i powinien o tym pamiętać. Zgodnie z tym, co powiedziano o autorce w notce obok jej zdjęcia, że Natalia lubi bosy chodzić po

łące, niczym taka jedna z „Czterdziestolatka”, co motylem raz chciał być, pisze ona o sobie Bosostopa, czyli, że bez butów pisze wiersz.

*Idziemy cichą od niedzieli ulicą  
Tylko biel skrzypi pod stopami  
Pomyśl jak zimno o tej porze musi  
być polnym kamieniom.*  
(Bosostopa pisze list do kamyczka)

Kamil, któremu dedykowany jest ten wiersz



może liczyć, że go otrzyma, ale dopiero po upieczeniu faworków dla autorki. Tak.

I tak do końca pierwszej części. Paradowska opisuje codzienne życie, zmagania z miłością, pragnieniami, glinianymi kubkami kaka

o i gdzieś powoli przemycą wiarę właśnie w polne kamienie. To ta część tomu, którego nie można zostawić samemu sobie, bo nie da sobie rady. Będzie się ciskał, poszukiwał tajemniczego światła, „afirmował waginę”, ale nie da rady.

„Kostka Rubika” – druga część książki zaczyna się wierszem tytułowym, czyli „Modlitwą stóp”. Ta część to już odejście od dzisiejszej rzeczywistości. Robi się poważniej, bo poetka postuluje powrót do natury, pierwotnego instynktu, każącego nam badać tętno ziemi bosymi stopami. Za to właśnie „pobłogosławią bogowie upadłym nam raz jeszcze”, bo wszyscy jesteśmy potomkami malarza z Lascaux. Druga część tomu na zasadzie kontrastu między dzisiejszą cywilizacją a ludźmi, którzy w paleolicie tę cywilizację rozpoczynali, zdaje się wskazywać mi kierunek według którego powinienem iść. Czyżby powrót do natury? Do wszystkiego, co pierwotne? Tak to rozumiem.

*Z rozprutych błon bębenkowych cieknie płyn  
-zrośmy nim ziemię na cześć*

*Gai Matki Naszej*

*o wielbmy kaganki ciał naszych*  
(Modlitwa stóp)

I w tym momencie tomik zaczyna mi się podobać. Bo chociaż mamy tu zestaw lektur dla gimnazjum, czyli Herbert ze swoimi wrażeniami z Lascaux, Iwaszkiewicz ze swoją „Uranią” i Durera z obrazem „Czterech jeźdźców”, kataklizm Atlantydy, nie mam wrażenia nudy. W wierszu „Kradzież kobiety” formy przedludzkie zachowują się podobnie, tak samo jak my. Chowamy swoje skarby już nie

pod skóry bizonom, ale do banków, sejfów. I potrafimy też zżęcznie kraść, pożyczać na wieczne nieoddanie. Stroimy się w piórka, popisujemy, podlizujemy, robimy to czego się od nas oczekuje, by coś za to otrzymać. Potrafimy wyprzedzać oczekiwania innych, wtedy jesteśmy już super sprzedawcami. Czego? To już nieważne. Liczy się osiągnięty cel.

Młoda poetka postanowiła wskazać nam kierunek dzisiejszego postępu cywilizacji, czyli dążenie do końca świata, zagłady. I nieważne już czy to będzie wojna atomowa, czy kiwnięcie boskiego palca. Natalia Paradowska zdaje się powiedzieć nam, że nie rozumiemy odwiecznych znaków, zapominamy znaczenia symboli. Szybko się uczymy, ale szybko też zapominamy. Nic w tym odkrywczego.

Wiersze te to jakby dwa etapy w twórczości młodej poetki. Jeden banalny, odwołujący się do trywialnych, oklepanych motywów, poruszający tematy charakterystyczne dla nastolatki piszącej do szuflady. Drugi etap, to poszukiwanie w tekstach kultury, uniwersalizowanie znaczeń, posługiwanie się symbolami. Co z tego zderzenia kultur: dzisiejszej i pradawnej wynika? Tomik, który kontrastując dwie cywilizacje, dwa okresy w dziejach ludzkości, ostrzega przed jej wyginięciem. Czym są „światłoczułe palce”? Jaką ciemność rozkruszą? My się nawet tego domyślamy, ale żeby było bardziej poetycko, nie powiemy.

*Natalia Paradowska,  
Modlitwa stóp,  
Stowarzyszenie Elbląski Klub Autorów,  
Elbląg 2007.*

# Inglisz samer rejn



*Always stays the same, nothing ever changes,  
English summer rain seems to last for ages.*

Nic się nigdy nie zmienia, w szczególności w tym miejscu. Tysiące rodzajów deszczu, ale to tylko znaczy tyle, że nic się tak naprawdę nie zmienia. Woda chłupocze w bucie. Kiedyś miały kolor cegły, teraz bardziej gówna czy skrzepu krwi. Łotewa. Stoję pod drzwiami agencji pracy już od kilku godzin. Pod nogami walają się pety. Trzy dni zostały. Nie wiem nawet czy całe?

Telefon dzwoni, sprawdzam kto, to żadna z agencji pracy. Stoję akurat przy tej, bo wczoraj poszedł cynk na dzielnicę, wśród Polaków, że dzisiaj ma być właśnie nabór do jakiejś pracy. W nocy wiadomość gruchnęła wśród Czechów i tak doszło do nas. Mam tylko nadzieję, że żaden brud się o tym nie dowiedział. Brakuje tu tylko ciapaków albo czarnuchów. Odbieram telefon, to dzwoni Taboret. Pyta się czy dobrze obstawiłem teren, bo słyszał o bandach brudasów kręcących się w okolicy. Najlepiej udawać przypadkowość, żeby nie było podejrzeń. Tak było z żarciem wybieranym ze śmietników, wszystko było zbyt ostentacyjne i się zrzuciło ścierwo z dzielnicy i po zabawie. Żarcia za mało. Były małe fajty z czarnuchami. Chłupocze mi ta woda w tym bucie i rozprasza to moją uwagę i ogranicza percepcję. Mogą mnie podejść z tyłu albo z boku kogoś. Bo wystarczy, że poruszę się trochę i taki chłupot będzie, że nie usłyszę w decydującym momencie kroku. Przejebane i po pracy. Już tak niewiele czasu.

Taboret zapukał i tym mnie odświeżył. Zawiesiłem się i nie miał mnie kto zresetować przez kilka ostatnich dni. Ostatni raz gdzieś pracowałem prawie dwa tygodnie temu. Później tylko słuchanie muzyki. Wciąż tych samych kawałków. Nie miałem na co i skąd ściągnąć nowych piosenek, więc musiałem poznawać na nowo je przez palenie trawy. Tak minął dzień pierwszy. Kolejne w sumie też i tak leciało wszystko. Z rana tani sklep i pizza z promocji. Były w sumie trzy rodzaje, trzeba było wymieniać. Serowa uczta, pikantny kurczak i pepperoni. Żeby trochę zmienić sobie i urozmaicić spożywanie, codziennie kupowałem nowy napój. Tu wybór był większy. Starczało opcji na tydzień, może półtorej. Pod głową mam spodnie i przykrywam się polarem. Właśnie tak sobie siedziałem i odkrywałem nowe kombinacje dźwięków w momencie pukania Taboreta.

- Przyjmować będą? Wiesz o tym?- mówi.

Leżę sobie dalej. Straciłem całą nadzieję, już dawno. Jak okazało się, że jestem kiepskim kelnerem. Nie płakałem za tą robotą. Stawka była po prostu za niska i tyle. Nie bawiło mnie to. Poza tym nie lubię Angoli, to banda debili. Pedaly i impotenci. Tak właśnie o nich myślę. Dali się nam podejść. Tak właśnie znalazłem się tu pod agencją pracy. Agencji jest kilka w tym mieście. Każda obsługuje inny zakład. Fabryki, magazyny, małe i duże firmy. W sumie wszystko prawie fizyczne, no chyba, że jesteś Angolem. Wtedy to jest już inna bajka. Możesz nawet olać te ich agencje pracy i złożyć normalne cv i list motywacyjny.

Nie trzeba się rejestrować i czekać na telefon, od tej czy innej agencji. Zawsze się ładnie przedstawiają i mówią, że to dobra praca i jak się sprawdzisz to dostaniesz ją na stałe. Taboret powiedział.



Taboret przyjechał tu z okolic Rzeszowa. Zastanawiałem się kiedyś jak można mieszkać w Rzeszowie. Jak można mieszkać w mieście, o którym wiem tak mało. Prawie nic. Do tego jak można mieszkać gdzieś pod tym miastem? Rzeszów wyobrażam sobie jak skrzyżowanie Grudziądza, Bydgoszczy i parku w bylejakim mieście w Polsce. Trochę zieleni, kilka placzków blokowisk. Do tego jakieś średniej jakości centrum handlowe i jakieś stare kamieniczki. Takie, które przetrwały wojnę i są urzędami po tejże wojnie.

Oczywiście główna ulica musi się nazywać Warszawską, chociaż, może to też być Lubelska. Taka główna droga przechodzi później w drogę krajową i łączy taki Rzeszów z Lublinem, czy też z granicą. W parkach siada się w ciepłe letnie wieczory i rozmawia o ciepłych i wilgotnych cipkach. Rozmawia się o tym, że chce się wyjechać na zachód. Pracować za funty i ruchać wszystkie te laski o innym kolorze wzgórka tonowego. Potem zapija się to wszystko piwem i wraca pod swoje klatki schodowe i wchodzi po schodach na wszystkie możliwe w Rzeszowie piętra. Śpi się i wstaje rano. Do szkoły. Do pracy, za którą dostaje się złotówki. Pod takim Rzeszowem jest mnóstwo małych miasteczek. Tak mi się wydaje. W jednym z nich mieszkał Taboret. Przyjechał tu jakiś miesiąc przede mną. Od razu trafił do Ox. W sumie to nie wiem kto go tu ściągnął. Nie wiem w ogóle jakim cudem trafił akurat na Świętą. Ja tu trafiłem przez niego w zasadzie. Kiedy się poznaliśmy było zajebiście, bo nie płaciliśmy wtedy podatku. Można było wyciągnąć całkiem niezły hajs. Można było za to kupić sobie fajniejsze ciuchy niż, te ze „Sports Worldu”. Pardek kupił sobie wtedy nawet pleja. Pardek pracował przez jakiś czas z nami. Złoty czas teachersa i gry w kosza. Szczęście nowicjusza po prostu. Nie co teraz, gdy o pracę tak ciężko jest, że trzeba stać pod agencją i to nie oni ciebie proszą czy może przyjdiesz jutro do roboty. Teraz to ty prosisz ich. Nawet o jakieś gówniane kelnerowanie, na które wcześniej byś nie spojrział. Wcześniej było się pracownikiem przemysłu. Industrie.

Ox o tej porze jest mało przyjaznym miejscem. Bez tego pomruku fabryki jest tu przeraźliwie chłodno. Szczególnie w tej części miasta. Gdzieś pomiędzy imprezową częścią Cowley a fabryką i wielkim magazynem na wschodzie. Lepiej jest już po 6-tej, kiedy samoloty lecące do Londynu przelatują nad miastem. Później rusza fabryka i jej pomruk uspokaja. Fabryka samochodów jest marzeniem każdego Polaka. Największe pieniądze, które gwarantują szybszy powrót do domu. Do Rzeszowa, Elbląga, Ostródy, Olsztyna, Bydgoszczy...

Zaczął padać deszcz. Delikatna jego odmiana. Miękką jak sflaczałe piersi. Nałożyłem kaptur i odpaliłem kolejnego papierosa. Co wtorek można kupić karton fajek za dwadzieścia funa od polskich kierowców. Ile razy zastanawiałem się czy nie zapytać czy nie mogę się z nimi zabrać. Zostawiłbym w pizdu całą Wielką Brytanię za sobą i wrócił do domu. Tak samo jak kilka miesięcy wcześniej zostawiłem Polskę. Wsiadłem wtedy w autokar pod hotelem i dzień później byłem już tu. Śnieg wtedy padał. Zasypał całe miasto na północy Polski. Calutkie. Zaczął padać kilka dni przed wyjazdem. W dzień zakupu biletu. Trochę odkładanego zakupu, bo w sumie podświadomie przeciągałem wyjazd. Tak samo teraz przeciągam powrót do domu. Wsiadłem na Victorii.

- Gdzie jedziesz dalej?- pyta koleś z busu i zamawia browar.

Ja mu odpowiadam, że Ox przede mną tylko. Zamawiam piwo również i czekam na Janka, żeby mnie odebrał. Koleś z busu ma pracować na lotnisku i czeka na ludzi, którzy mają go odebrać. Pijemy piwo.

- Jak stoisz z angielskim, bo ja kiepsko- tak mówi.

Ja odpowiadam, że jest okej. Dogadać się dogadam i za miesiąc powinno być prawie płynnie- takie miałem życzenie. Żeby używać tego języka na tyle płynnie, żeby wypełnić



aplikacje do pracy. Albo podanie o urlop. Zrobić cokolwiek z tym językiem. Tematy się kończą. Nie wychodzą poza pytanie o stawki i miejsca pracy. Zawsze tak jest. Po pierwsze - gadzinówka. Pięć i pół, to wygląda bosko. Można za to zrobić zakupy. W Polsce przez dwa tygodnie pewnie robiliśmy kosztorysy. Kalkulator i obliczanie. Później porównanie tygodniowej pensji angielskiej i pensji matki miesięcznej. Później dodawanie do tego pensji ojca razem z zasiłkiem i odejmowanie, dodawanie i mnożenie. Na koniec dzielenie i planowanie odkładania. Pytania o to ile będzie kosztowało mieszkanie i ogólna kalkulacja.

Po dwóch tygodniach oddam dług rodzicom, po trzech tygodniach kupię sobie ipoda. Po miesiącu zakup wyjebanego notebooka. Później zaczynamy odkładać na ziemię pod dom w Polsce. Kiedy po półtorę miesiąca już odłożymy na ziemię, przyjdzie czas na odkładanie na budowę rezydencji. Takiej z basenem i lądowiskiem na prywatny helikopter. Na ten helikopter przyjdzie czas po miesiącu trzecim. W międzyczasie zakup nowej audicy. Na koniec ciuchy. Najdroższe. „Harolds”-a w Londynie obkupię z najnowszych kolekcji.

Zapomniałem już jak smakuje praca. Zakupy w najtańszym sklepie z żywnością. O pizzach z Tesco nawet już nie marzę.

Wyszedłem z pubu i zostawiłem tam kolesia z busu. Wymieniliśmy się numerami. Nigdy nie zadzwonił. Ja też. Tak samo jak nie kupiłem sobie audicy.

Dostaję sms-a. W nim pytanie co i jak. Jak mój dyżur przebiega. Czy może widziałem bejce Andiego. On jak święty Mikołaj w tej bejcy pracę ma wsadzoną w worki plastikowe. Przezroczyste one nie są. Nie kupuje się kota w worku. Pracę można wyciągnąć jednak z nieprzezroczystego worka. Mówią wtedy, że jest praca. Nie pytasz za ile i na ile. Bierzesz ją. Wymujesz z worka dopiero jak przychodzisz do szefa zmiany. Wtedy wiesz, co tak naprawdę musisz robić. Od nowych kumpli od papierosa dowiadujesz się ile dostaniesz kasy za godzinę i ile przerw jest niepłatnych. Choć najpierw musisz znaleźć agencyjnych, bo kontraktowi to inny świat. Przynajmniej dwadzieścia procent więcej kasy na koncie i wypłata miesięczna. Kontrakt przynajmniej na pół roku. Gwarantuje stałe godziny pracy i urlop płatny. W czasie takiego urlopu wraca se do Rzeszowa albo do wioski pod Bratysławą. Jeżeli jest to Bryt, to leci na Ibizę i wywala swój gruby brzuch. Jak taka laska. Pierwszy raz widziałem wtedy silikonowe cycki, bo one musiały być silikonowe. Sztuczne. Przysypiałem sobie na Luton i pały ściągały jakiegoś Pakistańca. Obudziło mnie to stanowczo zbyt brutalnie. Wyszedłem skrócić rollupa i zapalić. Zaraz za mną wyskoczyła blondyna - laseczka z wielkimi cyckami, wręcz wywalonymi. Dzwoniła do tatusia, że właśnie obserwuje działania operacyjne brytyjskiej policji. Jej cycki wylewały się spod białej koszulki na ramiączkach. Kurde, wcale się nie wylewały, tylko wypychały ją. W taki nienaturalny sposób, że musiały być silikonowe. Z gumy. Z kauczuku. Pierwszy raz coś takiego w życiu widziałem. A widziałem kilka par cycków w swoim życiu. Musiały być sztuczne. Angol stojący po mojej lewej stronie zapytał o rizzle. Zapaliliśmy sobie. Nie lubię policji, tak do mnie powiedział. Pewnie później zapakowali się do samolotu lecącego na Ibizę. Ja znam tylko połączenie z tanich lotnisk na północ od Londynu z terminalem Etiuda na Okęciu.

Cycki nie były silikonowe u lasek w agencjach pracy. Katie w Mastersie miała wielkie i w dużym dekolcie. Takie obrzydliwie angielskie, bo szły w parze z wielką dupą. Generalnie bycie grubą laską jest wybitnie angielskie. W Mastersie mieli różne prace. Od sprzątania po produkcję silników. Agencja od wielkich cycków mieściła się na rynku w Ox. Wepchnięta między „McDonaldy” i banki. To była pierwsza agencja w której się zarejestrowałem. Oczywiście nie bez problemów. Za dużo Polaków i innych słowiańskich pracowników. Wchodzisz do środka, a na siedze-

niach od cholery nacji. Żadnych Angoli. W recepcji Polka. Do cipy jednak musisz mówić na początku po angielsku. Takie stopnie wtajemniczenia. Pokazujesz, że jednak ty spikasz w Inglisz. Jak nie spikasz, to usłyszysz: niestety nie ma teraz żadnej pracy. Dostajesz numer telefonu. Jeżeli przejdziesz ten test, to możesz się zarejestrować. Odsyła ta Polka do Katie albo Paula. I możesz podać swoje preferencje dotyczące pracy. Jaka praca jesteś zainteresowany. Jakie godziny wchodzi w rachubę. Jak długo zamierzasz zostać w Zjednoczonym Królestwie i czy kiedykolwiek pracowałeś w wyżej wymienionym kraju. Oczywiście jest ten wszechobecny uśmiech. Wszechobecne zwracanie się per ty. Nie ma tego naszego polskiego pan czy też pani. Takie bezpośrednie i pełne luzu. Luz totalny, choć ty szukasz już żarcia po śmietnikach. Planujesz kradzież telefonu komórkowego. Myślisz jak i gdzie nie ma kamer, żeby przyłożyć komuś nóż do gardła. Na pełnym luzie, mimo tego, że zbliża się czas płacenia rentu. Nikt nie chce mieszkać pod mostem, nawet w tak lekkim klimacie jak ten angielski. Z tym angielskim deszczem i mgłą. Z trzema opadami śniegu rocznie. Śniegu, który topnieje momentalnie. Później jest po prostu mokro. Chyba też są tu jakieś brygady babć wspomagające bezdomnych i można sprzedawać pod Tesco big issue. Rejestrujesz się i oni obiecują, że oddzwonią. Cycki laski z recepcji w secondchance były małe i do tego ten mysi ryjek. Za ostro jak na angielską pogodę makijaż. Za ostro jak na te tysiące różnych rodzajów deszczu pomalowane oczy. Agencja wciśnięta między sklep monopolowy i sklep z ciuchami przemysłowymi. Znaczące miejsce. Praca i najebka. Życie klasy robotniczej. Nic się nie zmienia. Nic się nigdy nie zmienia. Odjebujesz swoją zmianę i kupujesz browar. I tak minął rok pierwszy. Bóg stwierdził, że damy sobie radę i nic się nigdy po prostu nie zmieni. Księga wejścia w obieg ofert pracy i obieg alkoholu w organizmie. I tak minął rok drugi. Jeszcze dwadzieścia osiem do emerytury. No chyba, że jebnie coś w ciebie i będzie renta. Łupie w krzyżu. Łupie w dupie. Tak właśnie wsadzili agencję. Dobrze wiedzieli. Kapitalistyczne buraki. Widzę to w formie filmu propagandowego z kubańskiej telewizji publicznej. Burzuj w garniturze. Cygaro dymi z dłoni. Przygryza. Później dwóch kolejnych wchodzi. Liczą zyski z pracy, sprzedanego alkoholu i opchniętych sejfity szusów. Wiedzieli bardzo dobrze. Skurwysyny wiedziały. W tym secondchance dostałem pierwszą pracę.

„Widziałeś Uniwersytet?” , takie coś dostałem kiedyś na gg. Jakiś tam znajomy, taki daleki. Bardzo dobry do pożyczania kasy. Nic w sumie więcej, tylko parę razy pięć dych na studiach. Wpadało mieć jego gg, tylko z tego powodu. Oczywiście odpowiedziałem, że nie. W dupie mam ten wielki uniwersytet. Mój Ox. Moje OX4. Kwadrat. Zżyłem się z dzielnicą. Coś więcej niż uniwersytety i regaty. To całe życie między klubami na zachodzie, a dystryktem przemysłowym na wschodzie. Centrum handlowe. Bankomat i bank. Później w stronę pubu Łabądek. Za nim w prawo i prosto. W stronę pierwszej gwiazdy fabrycznej. Świecącej na nieboskłonie brytyjskim. Wysoko, hen ponad dachami domów. Po drodze stacja benzynowa „Total”. Tam kanapki, napoje energetyczne i chleb w nocy. Po zmianie. Dwa ronda i już fabryka samochodów. Po pracy można iść do Tesco, w tygodniu otwarte całą dobę. Wydać jakieś funty. Dobre na lenistwo. Nie chciało robić się kanapek, to musisz zabulić. Fabryka ogromna. Za ogrodzeniem wszystkie nacje palą służki. Najczęściej ze Wschodniej Europy. Dwadzieścia funów za karton, to dobry interes. Nie płacmy akcyzy Królowej. Hasło. Wielkie pospolite ruszenie. Piąta Międzynarodówka Palaczy. Łączmy się pod sztandarem polskich fajek. Do boju za ceny tytoniu. Paczka fajek za pięć funów, chyba ich pojebało. Panie ja mam służki za dwa funy za paczkę. Łont sam fags, only tu pałnd for pak.

Siedzą za tym ogrodzeniem i wdychają dym. Zagryzają to wszystko kanapką. Zapychają dym makaronem. Ryżem. Polska kiełbasa. Polski chleb. Dwadzieścia pięć minut przerwy. Pierwszy dzwonek przypomina, że nie ma tak łatwo. W końcu czekają na nich ich



drzwi do przykręcenia. Dywany do ułożenia na podłodze. Lusterka i tłumiki. Koła. Jednaście godzin minus cztery przerwy po dwadzieścia pięć minut. Morning szift. Lejt szift. Pejslip co piątek. Łikend szift. Strumień funtów. Telefony do żony, matki. Ruchanie na imprezach. Odliczanie czasu do powrotu. Obliczanie kasy. Czy aby chuje nie oszukały. Później w sobotę rozmowy o tym, że nie policzyli nadgodzin. Szybka najebka. Regeneracja wątroby po sobocie i zaczyna się. Oj zaczyna się znowu. Podatki. Zwrot. Ubezpieczenie. Rok podatkowy i zmiana kodu na niższy. Bonusy na dziecko. Naukę i podnoszenie ogólnopojętej stopy życiowej przeciągające się. Pani po drugiej stronie słuchawki zapewne powiadam wam, że jest Paki-stanką. Nic ta kurwa nie potrafi wytłumaczyć. Tak, tu czildren. Kurwa, aj dont anderstend. Pomożesz? Jak angielskim stoisz, może ty kumasz? Ja dojeżdżam dwie godziny samochodem. Gud mani. Tak mija zmiana ranna i wieczorna. Za tym Murem Berlińskim, bo to Niemcy kupili całą fabrykę. Niemiecka precyzja. Wszystko wyliczone. Chłopaki już po przewie. Niemiecka precyzja, trzeba dobrze te podwozie dokręcić.

Wspominam pierwszą pracę czasem. Jak pierwszą dziewczynę. Jak pierwszy film porno obejrzały. Tam poznałem Taboreta. Nie była to najkorzystniejsza prezentacja z jego strony. Śmierdział wódą w minibusie. Taki Polak modelowy. Nie o to chodzi, żebym się w stosunku do niego pomylił. Typowy pijaczyna, ale pocieszny. W sumie lepiej być takim, niż jebanym zarobasem. Zarobasem być, to tragedia. Siedzisz w kantine i obliczasz wszystko. To za drogie. Jedziesz do Polski na holidaja i kupujesz starą empetrójkę i do tego kradzioną. Jak żyjesz, to żyj chociaż. Zarobas to nie pomoże. Szansy najmniejszej nie ma. Taki Taboret pomoże. Zarobas cię wyrucha. Pierwsza praca zawsze jest ekscytująca, bo wreszcie jakieś funty wpadają na konto w banku. Można już zacząć konsumować. Wydawać. Na pewno nie oszczędzać.

Kiedy nie masz na życie, na jedzenie. Na rent. A później dostajesz pierwszą sallarkę za swoje chujowe roboty, to nie myślisz o tym, żeby oszczędzać. Zakupy. Buty. Ciuchy. Jedzenie. Mnóstwo jedzenia, żeby nie wpierdalać suchych płatków. Wtedy żyjesz na poziomie. Później tracisz pracę i znowu. Efekt konsumpcyjnego joja. Masz - nie masz. Nie masz i czekasz, aż będziesz miał. Handel bez gotówki. Dasz mi dwie paczki szlufów, a ja Tobie oddam we wtorek jak przyjadą z polski nowe. Jesz czyjeś żarcie z lodówki. Później oddajesz. Kupujesz kawałek sera więcej. Dokupujesz jogurt biotop nowy. Kumpel kupuje jarania za dwie dychy, a ty kupujesz za dwie następnym razem. Ktoś odpala później na splifa trochę. Życie się toczy. Później znowu jest hajs. Zaczynają się zakupy.

Siedząc na ławce pod blokiem. Jeszcze siedząc w Polsce. Kumpel wrócił na chwilę z Dojczów. Pije. Dużo. Już go kumple obskoczyli. Ja też już z nimi piję. Częstuje fajkami nas. Wrzesień ładny, w sam raz na posiadówkę pod trzepakiem. Pijemy dalej. Zostawiamy kiepy i stos puszek. Coraz większy i większy.

„Robisz tam. Łupiesz, żeby tylko tu przyjechać i pierwszy raz w życiu poczuć się panem sytuacji”, tak opowiada. Nie wierzę mu. Oj nie. Myślę o kasie. Ma fajnie. Kupił sobie zajebisty telewizor tu i konsolę. Chce kupić niezłego notebooka. Jest już tak najebany, że kumplom udaje się go naciągnąć na dziwki. Dzwonią do znajomego. On jest na stowę trzeżwy. Księżyc wschodzi nad Warmią. Żółty jak jutrzejsze rzyganie pustym żołądkiem. Żółty jak całe Chiny i reszta Azji. Wschodzący księżyc wielki jak talerz. Przyjedzie. Pijany emigrant zapłaci za takse. Zapłaci za ruchanie. Zapłaci za to, by poczuć się kimś. Wreszcie. Wypruje wreszcie jakąś laskę, bo tu jest przez holidaja kimś. Nie jadę z nimi. Pożyczamy od Janka kasę i masakrujemy się z Pawłem ostatecznie winami. Dokupujemy jeszcze w sklepie po paczce szlufów. I powrót do pokoju.

Jeszcze nie wiem co to znaczy, wreszcie poczuć się kimś. Nie byłem w kraju od zimy. Teraz na pewno nie czuję się kimś. Czuję zimno raczej. Czuję się cholernie niepew-

nie, bo już powoli przestają wierzyć w pracę jakąkolwiek. Los się musi odmienić. Chcę kupić konsolę przynajmniej. Nie musi być nowej generacji. Może być trochę słabsza. I komputera też chciałbym kupić. Do netu chociaż, żeby mieć kontakt jakiś. Życie jest zupełnie gdzie indziej. Życie jest w zakładach pracy. Dudniących rytmem przerw. Papierosy i pudełka z kanapkami. Jak już to masz, to wiesz już znacznie więcej. Wiesz, że życie jest jeszcze dalej. Tam gdzie pierwszy raz skaleczyłeś się w palec. Tam gdzie pierwszy raz lizasteś się z panną. Wiesz, tam znacznie dalej niż do palarni z buta. A w porównaniu do odległości od maszyny z colą, to już lata świetlne różnicy.

Tak sobie stoję tu i zaczynam obmyślać, co bym zrobił z tysiącem funtów. Tak jakby ktoś podarował tysiąc pańdów. Jakbym je znalazł na ziemi. Nawet mogłyby być bardzo mokre. Wysuszyłbym. Żelazko od Asi z dołu pożyczył. Mógłbym też włożyć w książki. Niech soki puszczą, to może będzie ich więcej. Zabarwią te książki i strony też będą banknotami. Coś wspaniałego. Perspektywa cudowna. Za tysiąc, to mógłbym kupić bilet. Tylko w jedną stronę, bo innej opcji nie ma. Gdybym je dostał od jakiegoś filantropa angielskiego, bo takie rzeczy się zdarzają. Jak ktoś ma w chuj hajsu, to się czasem w głowie przewraca. Mógłby chodzić we fraku i być jakimś lordem. Oczywiście w meloniku, bądź w kapeluszu. Taki obraz wyższych sfer. Brytyjskiej arystokracji. Tysiąc funtów. Samolot mógłby być nawet rejsowy. Nie tam żadne Luton czy Stansted. Co to to nie! Tylko Heathrow. Samolot z wliczonym żarciem. Mógłbym też wygrać ten hajs w brytolskiego totka. Wiem, że grają i mają coś takiego tu. Nie wiem gdzie jest losowanie i który to u nich jest akurat dużym lotkiem, a który multilotkiem. W cooperativie często stoją dziadki i coś tam wypełniają. Mógłbym wpaść do jakiegoś kolegi, co ma telewizor. Nie musi mieć żadnej z tych platform cyfrowych. Starczy w zupełności telewizja odkodowana, w końcu zawsze tam są losowania. Nie będzie problemu. Może nawet w telegazecie będą wyniki. Telegazeta, to taki pierwszy Internet. Jezu jakbym miał te tysiąc funtów. Można też znaleźć walizkę z tym hajsem, albo portfel. Nie oddałbym.

Tysiąc funtów od Polski jestem teraz. To trochę mniej niż odległość w kilometrach. Inny przelicznik. Czemu z domu do Ox było tylko siedemset złotych?

Pierwsza wypłata, to było dwieście pięćdziesiąt funtów. Dwadzieścia pięć procent odległości do polski. Od tego czasu zrobiłem już ponad sześćset procent odległości do Polski. Tylko czemu dalej to i tak jest tysiąc funtów? Jedziemy tysiąc funtów.

2.

Senność. Widzę senność. Jakby ta noc się wydłużyła. Wyciągnęła strasznie. Senność od samego początku Cowley Road. I tak wzdłuż. Do miejsca gdzie Cowley przechodzi w Oxford Road. Ja mniej więcej tam stoję. Poszedłbym na Texaco. Pójdę. Znam Texaco o tej porze jak własną kieszeń. Z tym ciapakiem za kasą. Skurwiela, który posadził mnie o kradzież. Kakaowy pedał. Ja akurat wtedy czekałem na kasę w bankomacie. Przyszedłem po prostu za wcześniej. Tak za dziesięć dwunasta, a kasa zawsze od dwunastej. Było zimno w dłonie, więc postanowiłem poprzeglądać gazety. Ogrzać opuszki palców. Nic nie kradłem, bo co niby? Gazety z cyckami? Czy może tygodniki o tych wszystkich gwiazdach popkultury brytyjskiej i amerykańskiej. Generalnie anglosaskiej. Pierdole go. Innym razem wkładam kartę visę debita z konikiem w bankomatową cipek. Wybieram minimalne dwadzieścia funa. Nigdy nie brałem. Nigdy nie brałem wydruków, wolałem żyć w niewiedzy. Zapalam sobie lukstrajka. Podchodzi do mnie brzydka brytyjska dupa. „sory czy masz fajkę”, tak mówi. Oczywiście częstuję, bo



to taki nawyk z Polski. „chcesz biznes?” pyta znowu. Pytam o rodzaj tego biznesu. Jakiś niewinny wtedy byłem. Laska jest za dwadzieścia, a ruchanie za cztery dychy. Patrę na nią. Odmawiam i idę na chatę. Innym razem po nocnej zmianie poleźliśmy z Gandalfem i Taborettem po wódkę. Usiedliśmy na murku przed chatą, ale wtedy skończyło się wchodzenie. Drzwi zamknięte, a my nie mieliśmy magicznych kodów dostępu. Nie mieliśmy netu, żeby ściągnąć cracka do tej imprezy. Zapaliliśmy fajki i ruszyliśmy na Świętą. Tam dopiliśmy

co mieliśmy do dopicia i z Gandalfem zdecydowaliśmy, że pójdziemy do mnie po whisky. Była jakaś szósta czy coś. Tak dotoczyliśmy się do mnie. Mieszkałem wtedy blisko Texaco. Wzięliśmy ze sobą flaszkę i ruszyliśmy do parku. To był jakiś kwiecień czy coś. W zasadzie robiło się już jasno. Słońce nagrzewało i wysuszało chodnik. A może nawet nie było tak ciepło, a tylko ja tak zajebany straszliwie. Gdzieś między podobnymi do siebie domkami spotkaliśmy czarnucha. Brudas straszny. Pewnie bezdomny. Może menel. Może w ogóle jakiś schizol, bo to rano było. On szukał kogoś z bletakami, żeby splifa porannego zapalić. Gandalf miał srebrną rizinę. Niebo jakoś miało taki kolor dziwny. Jakby siniak pod paznokciem. Tak wokół tego guzika na wschodzie. Ja całkowicie już obojętny, a Gandalf jak zawsze z otwartością na gówno. Tak samo jak już parę miesięcy później spotkałem go w towarzystwie jakiegoś tyczkowego Angoła i dwóch czarnych dilerów. Park ten genialnie symetryczny. Wszystko wzdłuż i wszerz idylliczne. Piękna brama. Przesadzam. Brama poprawna, czyli obojętna. Otwarte metalowe drzwi z krat. Czy kraty. Czy coś tak trochę pod deseń wejść do fabryki samochodów. Za nim już tylko aleja. Później rozdziela się na dwie kolejne. W środku coś jak nasz swojski grzybek. Idziemy z Czarnym w stronę grzybka. Słońce już wschodzi na całego. Promienie porozrzucane. Dobrze. Bardzo dobrze. Tak dobrze było tam sobie siedzieć. Gandalf próbował nawiązać kontakt z Czarnym. Ten pokazuje swój styl kręcenia blantów. Te jego oczy wpatrzone w palce i pod palcami bletke. Ruchy jubilera i księdza zarazem. Zegarmistrza. Chirurga. Pianisty. Klawesynisty. Trębacza na Wieży Mariackiej. Słońce nad grzybkiem już wysoko i księżyc jednocześnie też. Czarny podnosi skręta w dłoniach. Jak dziecko poronione w pierwszych tygodniach ciąży. Gandalf chyba wtedy nawet płakał. Opuszcza roolupa i się żegna. Tak samo kiedy wcześniej zrobił znak krzyża, kiedy moczył brzeg rizinli językiem. Później go zapalili. Ja odmówiłem, bo w zasadzie bym już się nie obudził do końca niedzieli. Niebo rozrywa się na pół. Od Rose Hill po Hedington. Pęka bez najmniejszego szelestu. Szamańskie sztuczki Czarnucha. Samoloty zatrzymują się jak latające talerze. Pała, a dziura w niebie wciąż dym jak wielki odkurzacz. Przeogromne ssanie. Słońce już całkowicie weszło. Prawie wpada w szczelinę między niebami. Tym wschodnim i tym zachodnim.

Jednak pójdę na Texaco. Głodny jestem i suszy. Pare ostatnich funtów zostało na karcie. Cholernie niskie chmury mamy dzisiaj. Takie unoszące się nad wieżami. Miasto podświetla na czerwono wszystko. Jak byłem mały, to dużo nasłuchiwałem się o znakach na niebie. Zabarwieniach nieba. Przed jakimiś wojnami zawsze niebo na czerwono się barwi. Tak było w trzydziestym dziewiątym. Teraz też tak jest. Tylko jak to porównać? Kiedy to tylko mały pierdolnik, a kiedy afera na skalę światową. Może tak samo jak z krwią w gównie. Jak jest jasna i świeża, to nie jest tak źle. Masz po prostu jakieś pęknięcia w odbyciu. Za to jak jest ciemna i lekko zakrzepła, to chujowo jest na maksa. Wtedy coś się niedoli gdzieś głębiej w jelitach. Teraz patrzę w niebo i nie wiem co się wydarzy dalej, ale na pewno nie będzie to nic dobrego. Idę sobie od tej agencji na chwilę. Kupię kawałki kurczaka i mozzarellę zapiekaną w cieście. Do tego colę. Znowu nie sprawdzę konta. Jeżeli wyjdę minimalnie na minus, to i tak będę mógł jeszcze dzisiaj i jutro coś kupić. Wyłączę telefon. Nie będę musiał się tłumaczyć z dezercji. Trudno opisać coś co widziało się setki razy. Trudno skupić się nad każdym skrawkiem

bruku. Trudno zauważyć każdą nierówność i dziurę w asfalcie. Wiadomo, że tam jest tylko. Zarejestrowane wszystko. Nic więcej. Mam kilka marzeń. Dwa wiążą się ze stacjami samochodowymi. Pierwsze, to podpalić samotną stację. Gdzieś pomiędzy pagórkami. Zapalić później papierosa i obserwować tony na niebie. Stację wciśniętą między pagórki. Obserwować grę ognia i delektować się smakiem mocnego papierosa. Palić i zapalać na nowo szluga. Po wszystkich postawić kołnierz albo docisnąć czapkę bardziej i zmyć się.

Tak po prostu. Jakbym strzepywał resztki moczu z penisa. Drugie, to kradzież samochodu. Pojechać gdziekolwiek. Najlepiej zrobić to w jednym comobsie. Wysadzić stację i uciec kradzionym samochodem. Wchodzę na stację. Wybieram co miałem. Płacę kartą.

Dziwki pod stacją to norma. Wychodzą koło jedenastej. Wiecie jak to jest na tych robotniczo-emigranckich estejtach. Seks to duży problem, naprawdę. Nie ma tu czegoś takiego jak walka o kobietę, tu albo przyjeżdżasz ze swoją dupą albo jesteś skazany na ślinienie się. Walenie konia na myśl o swoich domowych stosunkach jest normą. Zamykasz oczy w pustym pokoju. Przypominasz sobie kształt piersi. Ich delikatną skórę. Duże. Małe. Średnie. Wszystkie twoje zmacane cycki zlewają się w jeden praczycek. W smaku łączący wszystkie roczniki kiedykolwiek próbowane. Tak jakby stworzyć idealne wino. Smakować je. Delikatnie płukać nim podniebienie. Tak samo w myślach ociera się język o idealną pierś. Twardnieje wtedy i pojawia się na niej gęsia skórka. Dostajesz erekcji. Właściwie masz ją cały czas. Za oknem zmienia się pogoda. Nie przeszkadza to w niczym tak samo możesz walić konia w deszczową noc, jak i podczas gwieździstego nieba. Trzymasz fiuta w dłoni i delikatnie na początku przesuwasz napletkiem. Tak jakby brała go w usta. Wcześniej oczywiście zgrabne dłonie muszą go wyciągnąć. Trzeba starać się nie myśleć o swoich własnych odciskach. Koncentrować tylko na wspomnieniu delikatnej skóry kobiecej dłoni. Ta dłoń wyjmująca twojego penisa z rozporka. Nie zauważać zgrubień swojej własnej dłoni brandzującej cię. Później bawisz się szybkością ruszania skórą. Z różną siłą chwytną penisa w dłoń. Imitujesz różne pozycje w ten sposób. Wyciągasz je z pamięci. Na koniec spuszczasz się sobie na brzuch, zamiast kobiecie na twarz i zasypiasz.

Brak dupy to problem. Poważny. W klubach też czasem lipa. Brytolka na ciebie nie spojrzy. Chłopaki wychodzą na imprezy co sobotę. Taboret kiedyś poszedł na jedną z takich sobotnich imprez. Razem z kilkoma innymi typkami od nas z chaty. Najpierw zaprawa na chacie. Rihhana śpiewa o tym, że chce być parasolką. Kształt jej ciała jest podobny do umbrelli. Mogłaby zostać parasolką większości facetów na chacie. Wódka idzie równo. Nie ma kieliszków, więc napierdala się tu z szklanek. Wódka stoi na podłodze na korytarzu. Zaraz obok połamanego krzesła. Na chacie kilku nie pije i są dwa samochody, więc zawsze ktoś może zawieźć na miejsce. Dobieranie odpowiednich ciuchów przez typów. Radek szuka odpowiedniego stroju. Białe spodnie? Różowa koszula? Do tego japonki? Primark oczywiście, bo wszyscy Polscy tam się ubierają. Wbić się trzeba koło dziesiątej, tak najlepiej. Impreza już trwa, a ty już najeżony. Nie trzeba siadać. Można zająć miejsce w kolejce po browar i posłuchać angielskiego trochę. Tam już przeboje r'n'b. wszystkie znane z Fox Fm. Bawmy się cudownie. Baunsujcie dziwki obok nas. Kręcić dupami. Tak, dokładnie tak. Na razie jednak libacja przy schodach na chacie. Wszyscy już gotowi. Taboret nagrzązany strasznie. Czuję, że coś z tego może być. Bartek ich zawiezie do klubu. Resztę już znam z opowieści. Relacji. Wywiadów środowiskowych. Weszli na bauns. Oczywiście z klasą, bo to w większości pracownicy linii produkującej ukołchane brytyjskie minimorrisy. Ku uciechu wszystkich, znowu Rihhana leci pociesznie sobie. Taboret już oglądał laseczki od samego wejścia. Cycuszki wystające spod bluzeczek. Pewnie się ślinił na samą myśl, że mógłby zobaczyć więcej. Gdyby doszło



do dotknięcia, to zapewne powiadam wam spuściłby się niechybnie. Na miejscu norma, czyli tańce i katowanie się już całkowite alkoholem. Wszystko odbywa się na pełnym gazie. Dupy tańczą. Taboreta wypatrzyła taka jedna emigrantka i w dodatku nie była Słowianką. No i tak się bawili. Lizali, nie wiem jak to Taboret zniósł. Bo pewnie to było obciążenie dla jego psychiki ogromne. Dla języka tym bardziej, bo z angielskim to on nie stał najlepiej. Choć język drinków opanował całkiem dobrze. Zapewne stawiał jej ich trochę, bo to chłopak z gestem jest. Może nie zarabia w tej Anglii kokosów, ale na libację stać tu każdego pracującego przynajmniej cztery dni w tygodniu. Poza tym jak nie ma akurat płacenia rentu, to można trochę odjechać hajsu z konta. No i tak tańczyli razem. W pewnym momencie dziewczyna zaciągnęła Taboreta w jakiś ciemny kąt i zaczęła mu drzeć łacha. Wszystko szło jak w dobrym pornolu. Już on myślał, że zaraz weźmie mu do buzi i obciągnie w sposób tylko sobie znany. Wyssie go do końca, a później zaciągnie do swojego pokoju i będą się ruchać przez dwa tygodnie. Będzie robiła mu kanapki do pracy i obciągała z rana. Taboret się zakocha i razem pojedą na holideja. Najpierw do niego, a później do jej kraju. Dwa tygodnie tu i dwa tygodnie tam. W trakcie marszczenia zapytała go o kolejnego drina. Taboret spokojnie podchodzi do baru. Ręka w kieszeń, a tam już pusto. Nawet na bro nie ma. Kasę zostawił w domu. Mówi to jej łamanym angielskim, a ona sobie idzie.

Taboret później sam. Załamany i pijany porządnie. To co wypił w zupełności starczyło. Wracał przez nocne Cowley. Na chacie był koło siódmej. Nikt nawet nie zauważył, że go nie ma. Wszyscy spali sprawiedliwie. On pomylił drogi i zboczył z Cowley. Poszedł zielonym już wtedy parkiem na Hedington. Tak to właśnie jest tu z dupami, jak nie zapłacisz to nie pociupciasz.

Na początku modnym tematem rozmów wśród Polaków, był polski sklep. Gdzie i co można tam dostać. Że jakaś świetna polka tam pracuje. Że sklep należy do murzyna, który świetnie mówi po polsku. Że chleb i kiełbasa. Najbardziej kultowe miejsce. Gdzie polski kościół? Nikt nie wie, nawet ja. Gdzie polski sklep, to już wszyscy wiedzą. Całe krucjaty przez Cowley przechodziły do tego sklepu. Po chleb i po wszystko Made In Poland. Tylko piwa tam polskiego nie było. Lukę wypełnił ciapak obok. Wszystko już w jednym pasie handlowym. Polskie żarło, nasz browar i polisz wodka. Żyć nie umierać. Lepiej niż w Rzeszowie. Polski sklep to hit przedwiośnia. Teraz jednak coś innego zdominowało głowy Polaków. Nawet nie głowy, a ich penisy. Polski burdel panowie otwarty został z wielką pompą. Brakowało tylko fajerwerków i bonów rabatowych. Przybytek na północ ode mnie. Ja osobiście nie wiem skąd ten cały raban i huk. Ceny tragiczne. Sto funa za pukanie. Polce płacić za seks z nią na obczyźnie. Płacić tam gdzie powinniśmy się wspierać mentalnie i pomagać w walce z samotnością. Jedziesz do Anglii, żeby zapłacić polskiej suce sto funa, żeby ją przerznąć. Toć to rozbój w biały dzień. Upokorzenie. Kiedyś pewnie bym nie spojrział na taką laskę z Hrubieszowa pod Lublinem. A w ostateczności postawiłbym kilka piw i wszystko zostałoby skonsumowane od razu. W toalecie. W samochodzie. W krzakach. Za klubem. Gdziekolwiek, kurwa mać. Tylko nie tu i nie za sto funa. Już tańsze były Azerki. Za cztery dychy miałaś jedną na całą noc. Raz chłopaki z roboty zamówiły sobie dwie azereczki na sobotnią noc. Dwie Azerki nadal tańsze od jednej polki na godzinę. Dziwki i walenie konia, to podstawa, kiedy wszyscy jesteśmy tu. Trzeba czymś zapełnić czas między zmianami.

Zjadam to co kupiłem. Siedzę na murku, pod jednym z tych identycznych domków przy stacji benzynowej. Obserwuję taksówki tankujące paliwo. Wszędzie Hindusi. Jebane ciapackie gówno. Trochę padać znowu zaczyna. Mam to już w dupie głęboko, bo i tak jestem prze-moczony. Mokry i zimno mi. Tak do szpiku kości zmrożony. Na stację zajeżdżają dwa

leciwe samochody sportowe. Zatrzymują się na parkingu. Dwóch typów wysiada z nich i idzie do sklepu. Ja wstaję i ruszam na spacer. Rozpoznaję wśród nich kolesia z Timoru, z którym pracowałem kiedyś w jednym z magazynów. Poczęstował mnie fajką, takich rzeczy się nie zapomina. Malborasem poczęstowany zostałem wtedy. Poczęstował mnie w momencie, kiedy skończył mi się tytoń. Zauważył mnie i kiwa w moim kierunku. Ja odpowiadam i idę w stronę City Center. W dupie mam już mój dyżur, będzie co ma być, potrzebuję ruchu. Rozprostowania nóg. Nie lubię jego nacji. Banda jebanych tepaków. Miałem kiedyś takiego na zmianie w innym magazynie. Nosił pięćdziesięciokilowe paczki na swoim durnym łbie. Był z siebie tak zadowolony. Kochał polskiego Papę, a ten niemiecki to faszysta. Takie rzeczy opowiadał. Kiedyś musiał nauczyć się trudniejszej pracy. Nie potrafił nauczyć się kolejności przyciskania guzików w palmtopie. Buraki z nich są, ale zawsze te ścierwo chce się integrować. Zaprzyjaźnić z tobą. Znają kilka słów w języku polskim i chcą znać więcej. Jebie mnie to. I w tym samochodzie siedzi jedna polka, z którą też pracowałem kiedyś. Po jej prawicy jakiś kolejny timorski kmiotek. Z bandaną na głowie. Kurwa, na niej amerykańska flaga. Kiedy ona mnie zauważyła, chowa twarz w dłonie. Robi jej się głupio. Wstydzi się z jakim ścierwem trzyma. Kto ją dyma później. Może dymają ją wszyscy po kolei. Jeżdżą od chaty do chaty i tam robią jej gangbang objazdowy?

Ide w stronę City Center. Na początku tylko małe domki. Robotnicze dziury. Czasem jakiś nowy flat, ale to z rzadka. Niebo już jest tak strasznie nisko, że właściwie nie można oddychać. Prawie typowa telewizyjna mgła. Jakby cała dzielnica paliła cygara. Trasa każdego bezrobotnego z dzielnicy. Chodzisz wtedy piechotą, bo szkoda kasy na bilety autobusowe. Lepiej zmęczyć nogi i zetrzeć trochę podeszwę. Buty zdąży się jeszcze kupić. Kiedy idę zawsze dopada mnie uczucie, że coś mi ucieka. Całe życie toczy się obok. W domu. Pod blokiem. Na ławkach. Rodzice się starzeją i siostra dorasta. Wszystko bez mojego udziału. Rozkład relacji i ciała postępuje bez mojego udziału. Nawet biernego. W takich chwilach przestaję wierzyć, że jest coś poza Oxfordem w ogóle. Tracę wiarę w świat poza kanałem. Nie wierzę w Warmię i Mazury. Istnieją tylko agencje pracy i mnóstwo tych nacji szwędających się. Oni mają lepiej. Czarni mają lepiej. Hindusi i Pakole mają lepiej. Nawet Czesi czy Słowacy mają lepiej. Ja mam gorzej niż reszta. Nie ma niczego poza tymi kilkoma możliwymi robotami. Mogę pójść składać samochody. Mogę też wywozić śmieci. Segregować je. Mogę też nie mieć pracy i katować się wódką i trawą. Pierdole Centrum, wracam na chatę. Odpalam papierosa. Pamiętam początek pobytu w Oxfordzie. Nie miałem co jeść, ale miałem szlugi. Mnóstwo szlugów. To mnie trzymało. Całą drogę autokarem. Mogłem wysiąść na każdym postoju i zapalić peta. Podpalać nieba niemieckie, holenderskie, belgijskie i francuskie. Teraz tylko podpalam brytyjskie. Niebo nad Wielką Brytanią nie jest mitologiczne. Zamiast aniołów samoloty różnych linii lotniczych. Anioły stalowe. Bez duszy i na pewno nie stróże. Oszustwo wykręczone straszliwie. Chcę do domu.

Pod stacją stoja dwie dupy. Jedna blond z aparatem na zębach, a druga hinduska. Obydwie ubrane niestosownie do ciepłej i wilgotnej pogody. Jakby pomieszały im się pory dnia i roku. Jakby to nie były Wyspy Brytyjskie, tylko jakieś Bermudy. Lekko zwiewnie, trochę kurewsko.

Michał Krawiel - rocznik 84. Mieszka w Barczewie. Studiuje polonistykę na UWM. Publikował w „Portrecie”, „Opowieściach”, „Kresach”.



Paweł Chojnowski

# Strzały „Czerwonego października”, czyli co, kto i kiedy

Głośne strzały stanowiły preludium, osobliwy wstęp, do każdego spotkania z cyklu „Czerwony październik”, które odbywały się przez cały miesiąc na Scenie Margines olsztyńskiego teatru. Inicjatorem spotkań był Mariusz Sieniewicz, a realizacji jego pomysłu podjęli się Igor Stokfiszewski ze strony „Krytyki Politycznej” oraz Dominika Szymt ze strony Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Dodać wypada też, iż cały cykl dyskusji podzielony został na cztery odsłony, które odbywały się co tydzień, kolejno 8, 16, 22 oraz 29 października, i w zasadzie każda z odsłon dotykała nieco innych obszarów tematycznych.

Do pierwszej debaty, której wiodącym tematem był współczesny teatr, zaproszeni zostali: Sławomir Sierakowski, Maciej Nowak oraz Bartosz Frąckowiak. Jej tytuł: „Brecht podważa drzwi Parnasu” błyskawicznie sprowokował pytanie: jak powinien wyglądać dzisiejszy teatr? Jaki jest, a jaki powinien być? Wydało się to aż nazbyt zachęcające do dyskusji, która, należy przyznać, przebiegała naprawdę interesująco. Zaproszeni goście próbowali więc wyjaśnić, czy w odniesieniu do teatru słowo ‘zaangażowany’

odpowiada słowu ‘lewicujący’, czy może chodzi tu o rolę teatru polegającej na skłonieniu do osobistych, indywidualnych odczuć i przemyśleń. Z zaciekawieniem przyglądałem się tej właśnie rozmowie, ponieważ mi, a zapewne również publiczności, jej zakończenie wydawało się bardzo ważne dla dalszej części spotkania. Również zbliżające się wybory posłużyły jako pretekst do zastanowienia się, czy scena może wpłynąć na decyzje podejmowane przy urnie. Wnioski, do których dochodzili Sierakowski, Nowak i Frąckowiak, były inspirujące, jak choćby ten, poprzedzony dłuższymi rozważaniami, że każde działanie prowadzi tak naprawdę do polityki. Ogrom publiczności niezaprzeczalnie świadczył o randze zarówno zaproszonych rozmówców, jak i poruszanych przez nich podczas spotkania tematów.

Tytuł kolejnego spotkania brzmiał: „Ala ma kota w patriarchalne łaty...”. Niestety, z ważnych przyczyn nie dotarła na nie główna rozmówczyni, czyli Kazimiera Szczuka. Odbył się natomiast koncert zespołu Videoturisten, który jednak, pomimo ciekawych pomysłów na urozmaice-

nie przekazu muzycznego (elementy improwizacji, projekcje video oraz jakże specyficzny klimat na scenie), nie zdołał zatrzymać wszystkich z naprawdę imponującej liczby przybyłych osób. Oczywiście, organizatorzy zadeklarowali inny termin, w którym debata z udziałem Szczuki miałyby się odbyć.

Trzeci strzał należał do członków Warmińskiej Biblioteki Wolnościowej, którzy w bloku zatytułowanym „Wyklęty powstań ludu ziemi ...” zaprezentowali podejmowaną przez siebie działalność lokalną oraz tę wybiegającą poza granice miasta czy kraju. Główny ciężar rozmowy goście oparli na określeniu, zdefiniowaniu ruchu alterglobalistycznego, do którego należą. Stało się to wyjściem do wielu ciekawych spostrzeżeń oraz dyskusji, choć i tutaj nie udało się uniknąć przepychanek słownych, które, wydaje mi się, nie miały na celu niczego poza uszczypliwością wobec rozmówców. I tu posłużę się przykładem, a dokładniej mało efektowną grą słowną, której przebieg polegał na licytowaniu nazwisk działaczy oraz filozofów, którzy wpisują się w nurt alterglobalistyczny. Już sam pretekst do wyliczenia znanych osób wydał mi się przede wszystkim ‘szpilą’ postaną w kierunku zaproszonych. Chodziło bowiem o oskarżenie, że działacze przypisują ruchowi zasługi ludzi, którzy do niego nie należą. Zupełnie niepotrzebnie, moim zdaniem, goście rozpoczęli spór, który tak naprawdę nie doprowadził do żadnej konkluzji. Natomiast publiczność z coraz mniejszym zainteresowaniem śledziła jego przebieg. Trafnym pomysłem wydaje się wyświetlanie zdjęć z akcji podejmowanych przez członków Biblioteki Wolnościowej, gdyż mogli oni swoje wypowiedzi umotywić obrazami, co było dostatecznie efektowne i z pewnością wpłynęło na pozytywny odbiór publiczności. Choć wypowiedzi zdawały się być dopre-

cyzowane i rzeczowe, oczywiście poza kilkoma potknięciami, jak na przykład słabe przygotowanie jednego z gości, to nie dało się nie zauważyć, że kilka razy zabrakło w całej prezentacji dynamizmu. Do udziału w tym spotkaniu zaproszony został też Filip Ilkowski z Inicjatywy Stop Wojnie. Nie miał zbyt dużo czasu, lecz jasno wyłożył główne założenia organizacji oraz postarał się o znalezienie odpowiednich powodów dla zasadności jej działania. Jego wywód przebiegł płynnie i sprawnie, co moim zdaniem wynika z faktu, że, po pierwsze przez lata działalności nabrał on już umiejętności publicznego wypowiadania się, a po drugie całą swoją wypowiedź, jakkolwiek w swoim zamierzeniu długą, musiał ograniczyć do 15 minut.

Czwarta i zarazem ostatnia odsłona cyklu odbyła się pod szyldem: „Słowo i obraz wspólnym dobrem narodu”, a do rozmowy zaproszeni zostali Artur Żmijewski oraz Igor Stokfiszewski. W jej trakcie twórca „Powtórzenia” przytoczył głośną sprawę Doroty Nieznalskiej, która stała się kołem napędowym dalszej części spotkania i pomimo słusznych chęci odejścia od tego tematu, stale przenikał on dyskusję. Jego nieprzerwane zgłębianie sprawiło, że momentami rozmowa ocierała się o monotonię oraz stawała się niezbyt klarowna. Oczywiście, podczas tego spotkania pojawiły się sensowne i interesujące wątki, ale nieodparcie przychodzi mi na myśl pytanie, czy po gościach takiego formatu nie powinno się spodziewać odrobiny rzeczowych i, rzekłbym, przełomowych wypowiedzi. Choćby wtedy, gdy Żmijewski jako przykład oddziaływania sztuki na społeczeństwo podał budowanie dróg w Palestynie, skąd, jak dodał, niedawno wrócił. Publiczność nie potrafiła odnaleźć sensu tego przykładu, co z resztą i także mi sprawiło



problem. Na właściwy tor myślenia autor przykładu wprowadził publiczność dopiero po dłuższych wyjaśnieniach. Być może trudności z komunikatywnością wynikały po prostu z niedostatecznie doprecyzowanych pytań, na które odpowiedzi często okazywały się analogicznie niezrozumiałe czy niewyczerpujące. Jak wtedy, gdy rozmowa dotyczyła kontrastu języków, jakim posługuje się sztuka i „moherowe berety”, a w konsekwencji, gdy zaczęto dyskutować o języku prawa. Czasami rozmowa przypominała mi kolejną polityczną debatę, w której rozmówca rewanżuje się za wcześniejszą ripostę tego drugiego. Oczywiście to spotkanie również cieszyło się dużym zainteresowaniem, lecz szeregi słuchaczy stopniały, gdy pojawił się nie ten Artur Żmijewski, którego najwidoczniej się spodziewali. Sytuacja ta wtedy wydała się zabawna, lecz szybko zdałem sobie sprawę, że śmiech nie był adekwatną reakcją.

Fakt, że „Krytyka Polityczna” współorganizowała projekt „Czerwony październik” z pewnością wpłynął na charakter tocących się rozmów. Nie pozostało to też bez wpływu na wybór zaproszonych gości oraz ogólnie na atrakcyjność całego cyklu. W związku z tym olsztyńskiej publiczności zaprezentowana została naprawdę duża dawka potrzebnego spojrzenia na politykę

i społeczeństwo przez kolorowe szkło literatury, sztuki i teatru z domieszką komentarzy na temat oddolnych inicjatyw społecznych podejmowanych w wolnościowym duchu.

# O co pyta nas „Krytyka Polityczna”? Na marginesie „Czerwonego października”

34  
onlineportret

Przeniesienie do projektu artystycznego procedury polityczności wraz z operacją obnażania jej nowoczesnych mechanizmów (zasada samoodniesienia; zawsze obecny element w każdej antysystemowej strategii) wydaje się dziś nieuniknione i atrakcyjne. Ponowoczesne oświecenie odkryło nowe pola ideologicznego procesu. Nie poszukuje on już swej roli jedynie w stabilizowaniu bądź relatywizowaniu tożsamości wspólnotowych. Potrafi się bez trudu zainstalować w samym procesie komunikacji, kodach językowych, praktykach kulturowych, zjawisku informacji, w sferze konstrukcji i dekonstrukcji modeli zmysłowości i podmiotowości. Nie istnieje sfera ideologicznie niewinna, nie podlegająca powyższej penetracji. Samo życie stało się kategorią polityczną wprost, ulegając anektowaniu w obszar oddziaływania współczesnych idei i form władzy wraz z całym swoim filozoficznym i technologicznym zapleczem. Nie istniałaby zatem próżnia ideologiczna, wolna strefa, impregnowana nie tylko na zakusy, ale przede wszystkim na realne możliwości nowych formuł władzy. Pojęcie czystej kultury, ustanawiającej własne reguły gry,

„eksterytorialnej” wobec pól, strategii i animujących mocy nowych ideologii, definiowałaby nieaktualne, nieadekwatne taktyki społeczne, które można byłoby oskarżyć o niebezpieczny dzisiaj błąd naiwności. Oto chyba najgłośniejsze credo animatorów i wykonawców projektu intelektualno-artystyczno-politycznego zwanego „Krytyką Polityczną”, którego koryfeusze w osobach Sławomira Sierakowskiego, Macieja Nowaka, Bartosza Frąckowiaka, Igora Stokfiszewskiego i Artura Żmijewskiego przybyli do Olsztyna wyprowadzić Sztukę z błędu apolityczności.

Zapoznaliśmy inauguracyjny, oparty na przemocy, akt węgielny Kultury, arbitralnie przesądający modele rzeczywistości społecznej, płciowej, ekonomicznej, duchowej. Kultura tradycyjna byłaby naszym nieuświadomionym ideologicznym *a r c h e*, ujawnionym przez ponowoczesną analizę. Każda kulturowa nostalgia ukrywa swoją prawdę – polityczną *de facto* treść, zaangażowanie i praktykę. Nie uda się nam obronić czystości kulturowego doświadczenia, które zawsze będzie odzwierciedlało w sobie jakieś stosunki społeczne. Dostrzegliśmy ich afirmację w z pozoru tylko niewinnym pa-

tosie uniwersalnego przeżycia, poddanym zabiegom współczesnej dekonstrukcji. Mit niezależności i uniwersalności estetyki jest nie do utrzymania. Jest ona wysublimowaną formą ekspresji struktury społecznej, stosunków własnościowych nie wyłączając. To replika sprzężenia wiedzy-władzy, inaczej metaforyzująca relacje pionowe i poziome w ich reprodukcji. Należy zatem odejść od czysto estetycznej aplikacji sztuki, twierdzą Sierakowski i Frąckowiak – wzięła ją w stosunki władzy i określony model społeczny. Domyka dominujący dyskurs. Podobnie jest z naturą prowokacji artystycznej. Zapewne i intelektualnej, jak się można domyśleć. System otworzył się na swoje opozycje, ponieważ dokonał istotnego przemieszczenia i przeformułowania. Odszedł od „przestrzennej” ekspresji i lokalizacji: grup, warstw społecznych i figur samej władzy. Prowokacja, wszelkiego rodzaju, w tym i ta „realna”, nie odnajduje już określonego adresu i adresata, nawet określonej „własnej natury”. Odesłana donikąd cyrkuluje w jałowym obiegu kontrolowanej pozbawionej wyrazistości i „celu” energii. Powiększa samopotwierdzenie, „satysfakcję” systemu.

„Własnej niezależnej natury” nie posiadają również i inne dyskursy. Socjologiczny, historiozoficzny, obyczajowy, filozoficzny. Także metafizyczny czy egzystencjalny. W tym miejscu pojawiają się dwie propozycje Igora Stokfiszewskiego. Po pierwsze, trzeba pożegnać się ze złudzeniem, iż każdy z tych dyskursów nie jest uwikłany ideologicznie. Poza tym ich klasyczne wersje tworzyły narracje dla innej struktury społecznej. Nie pokrywają swoją mapą aktualnych podziałów społecznych. Po drugie, nawet ich ponowoczesne odmiany, każda wzięta oddzielnie, nie okażą się politycznie ani społecznie skutecz-

ne. Wywrotowość danego dyskursu, wynikająca z naruszenia jego jedności, miała sens gdy ta jedność była jeszcze jednością samego społeczeństwa. Główna ideologiczna gra, i stawka, przeniosła się gdzie indziej – jej domeną jest teraz wielość. Jeśli to wielość i różnica (a właściwie nieodróżnicowanie) awansowały do rangi retoryki systemu, to konieczne staje się przeniesienie na ten nowy teren wszystkich społecznych taktyk i strategii. Prawdziwość oraz autentyczność wywrotowości prowokacji, intelektualnej, estetycznej, moralnej i wszelkich innych, fundowała się na odniesieniu do założonej jedności ideologicznej całości. Wystarczyło na przykład naruszyć nieco stabilny i jednorodny model estetyczny, by zakwestionować kryjący się za jego „jednością” układ sił społecznych. Z tego punktu widzenia pojawienie się przykładowo w czasach PRL-u niekompletnie ubranego idola rocka w przestrzeni publicznej „obalało” system „obyczajowo i estetycznie”. Po detronizacji jedności, kiedy to wielość i fragment, nieodróżnicowanie i płynność zaczęły nadawać ton regułom gry ideologicznej – tego typu akty, zakładające monolityczność przestrzenną i formalną wszystkich odniesień, są natychmiast rozbrajane w bezwymiarowości „postprzestrzeni” ponowoczesnego społeczeństwa. Należałoby wedle Igora Stokfiszewskiego podjąć ten nowy tryb i teren, na jakim toczy się aktualnie główna część procesu ideologicznego. Oznacza to konieczność zasysania przez sztukę, teatr, literaturę innych dyskursów, w tym socjologicznego, informacyjnego, różnych dyskursów stricte medialnych, być może nawet naukowego. Nie zapominajmy o wielu dyskursach związanych z metropolią, choćby architektonicznym. Technologicznym. Sławomir Sierakowski nie wyklucza wchłonięcia i wkomponowania w ten projekt również dyskursu ekonomicznego. Ist-

nieją przykłady działań hipertekstowych mających charakter artystyczno-polityczny (Internet). Wszystko to należy czynić z całą świadomością względnej anihilacji wyjątkowości i odrębności poszczególnych języków. To warunek *sine qua non* znalezienia się w samym „epicentrum” nowoczesnego procesu władzy.

Wiąże się to z jedną z kluczowych idei głoszonych przez środowisko „Krytyki Politycznej”. Chodzi o „nowych” i „starych” wykluczonych. Ci drudzy mogą stanowić dawne większościowe grupy „normatywne” zmarginalizowane przez duże obiegi komunikacyjne nowego typu. „Nowi” to między innymi dawne wyparte przez „normę” „resztki” socjologiczne, które dziś dostały się co prawda do podstawowego obiegu informacyjnego, ale niekoniecznie instytucjonalnego. Są częściowo wchłaniane przez polityczny mechanizm w celu restrukturyzacji społecznego zaangażowania. Paradoxem współczesności jest to, że obie te grupy, kiedyś opierające swoją identyfikację na wzajemnej formalnej pionowej (działanie normy) negacji, spotyka dzisiaj podobny los. Istnieje też szara strefa wykluczenia. Dawne grupy większościowe (np. religijne) pomimo marginalizacji niejednokrotnie zachowały przynajmniej swój obraz aksjologiczno-kulturowy. Nie posiada on już dawnego waloru uniwersalności i obiektywności, ale siłą bezwładu pełni jeszcze podstawową funkcję warstwy ochronnej. Dawni „nienormatywni” natomiast są dowartościowywani na fali różnych projektów emancypacyjnych przewartościowujących społeczne systemy wartości. Są oni niedowartościowani „instytucjonalnie”, ale otrzymują minimalną satysfakcję aksjologiczną. W najgorszej sytuacji znajduje się szara strefa – jej ofiary pozbawione są całkowicie swego obrazu antropologicznego i pojęciowego. Odnajdziemy wśród nich między innymi Bau-

manowskie „odpady ludzkie”, „nadliczbowych”, „zbędnych par excellence”. Ofiary procesu modernizacji i rozwoju. Generalnie, szarą strefę tworzyłoby wszyscy ci, którzy zostali całkowicie wyzuci i pozostawieni bez modelu i formy, nie będący częścią żadnego „projektu”.

„Krytyka Polityczna”, jak się wydaje, za jedno ze swoich fundamentalnych zadań przyjęła tropienie ukrytego procesu wykluczania, ściśle związanego z ponowoczesną „ontologią wielości” oraz opartą na niej nową retoryką. Wykluczeni wszystkich rodzajów mają zostać przywróceniu „projektowi ludzkiemu”. W tym celu niezbędne będą „izomorficzne” strategie kulturowe. Nasz stosunek do systemu powinien być kształtowany nie na zasadzie opozycji, lecz z jego zasadniczych elementów i środków. Nie prosta negacja a multiplikacja systemu pozwoli nam poddać go wielowątkowej demistyfikacji. Taktyka musi się zasadzać na swoistym rezonansie strukturalno-formalnym. Ważniejsze, w sensie metodologicznym, od śledzenia kolejnych pozycji długiej listy rodzajów i grup wykluczeń, staje się przyłapywanie polityczności *in statu nascendi*. Nadzieja takiego postępowania mogłaby brać swą siłę z prawdopodobnej ogólnej zasady nieokreśloności. Sam system byłby dla siebie w pewnym zakresie nieokreślony. Jego własny klon najlepiej wprawi go w konfuzję, zbije z tropu, na chwilę odbierze inicjatywę. Przemieszczenie wszystkich konwencji pomiesza mu szyki, zmniejszy właściwą mu formalną pewność siebie. Obnażeniu ulegną praktyki informacyjno-komunikacyjne jako takie, idea transparentności i przezroczystości społeczeństwa informatycznego. Informacja stała się źródłem nowych kategorii wykluczeń całych grup kulturowych i cywilizacyjnych. Dekonstrukcja sposobu w jaki nowoczesne



społeczeństwo samo siebie mistyfikuje i „zapomina” (proces ten obejmuje także Innych, inne kultury i cywilizacje) określałaby podstawowy sens idei polityczności kultury i nową figurę artysty

i intelektualisty. Czy projekt ten jest w stanie wyjść poza doraźność reakcji i uzyskać trwałość klasycznych rozwiązań aksjologicznych? Pokonać zasadnicze niewspółmierności pomiędzy różnymi grupami wykluczonych - pochodzącymi wszak z różnych porządków czasowych, ustrojowych, kulturowych – czymś więcej niż deklaracją empatii? Najogólniejsza wątpliwość. Nie byłoby owo przedsięwzięcie jedynie zabiegiem wewnątrzsystemowej „higieny”, elementem estetyzacji skutków socjologicznych współczesnego kapitalizmu (w wielorakim sensie tego pojęcia). Wykorzystajmy formułę znanego cyklu wykładów Leszka Kołakowskiego, by skonstatować – oto jakie pytania stawia nam „Krytyka Polityczna”. Miejmy nadzieję, że nie tylko nam, ale i sobie w nieustannej autorefleksji.



# To nie było „przebudzenie widza”

34  
onlineportret

„Przebudzenie się wiosny” Franka Wedekinda to opowieść o tym momencie życia, w którym dzieciństwo „sielskie, anielskie” przechodzi w młodość: „górną i durną”. O tej chwili, w której człowiek zaczyna coraz więcej wiedzieć, rozumieć i oczekiwać od świata, a świat jeszcze niekoniecznie to dostrzega i akceptuje. O tych dniach, latach, godzinach, w których tracą wiarygodność mity, od Świętego Mikołaja począwszy, na przekonaniu o tym, że dzieci przynosi bocian, skończywszy.

Wendla i jej przyjaciele, bohaterowie sztuki, mają po 14 lat. Za dużo, by uchodzić za dzieci, za mało, by zasłużyć na miano dorosłych. Wystarczająco, by szukać odpowiedzi na pytania o swoją seksualność, o sprawy życia i śmierci, wystarczająco, by zacząć bardzo poważnie gmatwać swoje losy. Pojawia się kwestia: jak się do tego „przebudzenia” ustosunkuje otoczenie, czy bliscy, rodzina staną na wysokości zadania, czy zrozumieją, a może odrzucą? Czy będą chować się za absurdalnym przekonaniem, że niewiedza może ochronić dzieci przed popełnianiem błędów? Czy pozwolą sobie na luksus życia w złudzeniu, że młodzi ludzie, te brzydkie kaczątka społeczeństwa, uwierzą w ewidentne kłamstwa i niedomówienia, że nie będą sami szukali prawdy?

Sztuka „Przebudzenie się wiosny”, przemianowana na „W.B.”, rozpoczęła sezon jesienny w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza. Wysta-

wiona została w ramach sceny Margines, jako produkt instytucji, która została stworzona po to, by sięgać tam, gdzie granice powszechnie pojmowanego teatru się kończą, by wchodzić w kontakt z widzem i ukazywać mu znane treści w nowatorski sposób.

Reżyser, Jacek Jabrzyk, zaangażował młody zespół, jeszcze nie „prawdziwych” aktorów, lecz słuchaczy przyteatralnego studium. Najstarsza aktorka, odgrywająca podwójną rolę w „W.B.”, rolę: matek Wendli i Melchiora, Agnieszka Pawlak, to również osoba zaledwie 30-letnia. Młody zespół, ambitny reżyser, który do sztuki przygotowywał obsadę za pomocą długich rozmów o przeszłości, wspomnień z dzieciństwa, prób wytłumaczenia i przełożenia na, każdego z osobna, indywidualnego systemu odczuwania i postrzegania – czy to może nie skończyć się sukcesem?

Sztuki na podstawie tekstu Wedekinda z pewnością nie można całkowicie skrytykować. Widać ogromne zaangażowanie aktorów, autentyczne, osobiste podejście do dramatu i odgrywanych postaci. To niewątpliwie zaleta przedsięwzięcia. Agnieszka Giza, odtwórczyni roli tytułowej w wywiadzie dla „Portretu”, na pytanie „Kim według Pani jest Wendla?”, odpowiedziała natychmiast i bez zastanowienia: „Wendla to ja, Agnieszka Giza”, po czym opowiedziała o pewnych różnicach i mnóstwie podobieństw, analogiach, między nią, a jej postacią. Imponująca świeżość, zapał, którego tak często braku-

je, fantastycznie. Dużym plusem jest fakt, że aktorzy rzeczywiście „czują” i rozumieją problematykę „W.B.”, mają ją opanowaną do perfekcji, niemal wtłoczoną w krwioobieg. Jednak... Dużym minus-

sem adaptacji sztuki jest to, że widz nie ma aż takich możliwości poznania zagadnienia, poczucia problemu, gdyż sztuka chwilami jest nazbyt zagmatwana, symboliczna i nieczytelna.

Celem każdego przekazu, czy to książki, czy przedstawienia teatralnego właśnie, wydaje się być nakłonienie odbiorcy do przemyśleń, do przełożenia podanych treści na własny system odczuwania, do wklejenia zaprezentowanego obrazu do własnej pamięci, doczepienia między wspomnieniami, do przeżycia po prostu, a nie tylko odbioru, obejrzenia, przeczytania. Wiadomo, że do tak indywidualnego odbioru nie jest łatwo zachęcić, zwłaszcza w czasach szeroko rozumianej popkultury. Potencjalny „kanapowiec”, kiedy już przypadkiem trafia do teatru, czy na sztukę w jakiegokolwiek wyższej postaci, musi dostać solidny impuls, by się nad czymś zastanowić, spróbować poczuć naprawdę. Wiadomo, że najlepszym impulsem jest stawianie pytań, pytań trudnych, natrętnych, wwiercających się w mózg, w serce, w świadomość, wymagających poszukania odpowiedzi. Bardzo dobrze takim celowi służy atmosfera napięcia, niepewności, jak w filmach Lyncha na przykład. Atmosfera, która wbija w fotel i nie pozwala zamknąć oczu.

No właśnie. Pojawia się pytanie: czy wspomniane przeze mnie artystyczne socjotechniki znalazły swoje miejsce i zaowocowały w „W.B.”? Z prawdziwą przykrością stwierdzam, że nie.

Pytań pojawia się mnóstwo. Każda scena to właściwie tylko delikatnie zasygnalizowana, niedokończona myśl, do swobodnego interpretowania. Czasem tak bardzo delikatnie, że aż

potencjalnego widza (mnie, na przykład) przeraża tak wielki skrót myślowy, a moje ewentualne wnikiwanie w problem, zmienia się w zastanawianie nad podstawową kwestią: „no, ale tak ogólnie, to o co chodzi?”. Nadmiar pytań, brak wielu kluczowych odpowiedzi, wskazówek i podpowiedzi, zaciera przekaz sztuki. Problem kluczowy spektaklu „W.B.” chowa się za atrakcyjnymi, zabawnymi wstawkami, tańcem niczym z telewizji z MTV, break dancem w wykonaniu młodych aktorów, stosunkiem seksualnym Wendli z Melchiorem przedstawionym za pomocą podskakiwania dziewczyny na dywaniku. Gest i ciało w teatrze mają stanowić środek, a nie cel... Elementy komiczne są zjawiskiem pozytywnym, to oczywiste, jednak nie wtedy, kiedy zakrywają treści właściwe, zakłócają odbiór.

Wspomniana przeze mnie scena na dywaniku, w założeniu, obrazuje gwałt. Gwałt – tragedia młodej dziewczyny, trauma na całe życie. Zdarzenie nie jest ukazane bezpośrednio i z całą brutalnością, tylko zasugerowane. W jaki sposób? Otóż najpierw widzimy Wendlę i Melchiora, czujemy ich wzajemne zainteresowanie, narastające napięcie, buzujące hormony... Po chwili bohaterowie znajdują się na białym dywaniku, plecami do siebie, nie dotykając się zupełnie. Dziewczyna rytmicznie podskakuje powtarzając: „Nie, Melchiorze, nie”, zaś chłopiec, z doskonale znużonym wyrazem twarzy, siedząc w niedbalej pozycji, odpowiada jej spokojnie: „Wendlo”. Pierwsze skojarzenie: szowinistyczny mit o kobiecym „nie”, które oznacza „tak”. Wendla powtarza swoje: „Nie” całkowicie bez przekonania. Absolutny brak zapału, agresji czy jakichkolwiek emocji na twarzy Melchiora, również nie pozwala widzieć w nim napastnika. Scena trwa na tyle długo, że – jestem niemal pewna – nie było przedstawienia, w trakcie którego publiczność nie

zareagowała na całokształt sytuacji śmiechem. Śmiech jako odpowiedź na gwałt? Jakaś pomyłka! Tylko czyja? Widzów czy twórców?

Byłam w teatrze, mogłam porozmawiać z aktorami, zapoznałam się z omówieniami, recenzjami, opracowaniami wszelkiej maści, miałam sporo czasu na zastanawianie się i już wiem, o co chodzi w historii Wendli. Pojawia się jednak pytanie, czy odbiorca, który nie musi interesować się sztuką w stopniu wykraczającym poza jej obejrzenie, czy wyniesie z teatru coś więcej niż tylko przekonanie, że „W.B” to sztuka ogólnie nudnawa, tylko chwilami śmieszna? Szczerze mówiąc, wątpię. Niezwykła, ponadczasowa treść i problematyka „Przebudzenia się wiosny” (w końcu nie bez powodu twórczość dramaturga sprzed stulecia, Franka Wedekinda, jest ostatnio tak popularna w teatrach), fantastyczna świeżość i zaangażowanie aktorów, gubi się i niknie.

Może nie te środki przekazu, nie te zabiegi artystyczne? Trudno powiedzieć. Chwilami sztuka jest po prostu śmieszna, chwilami przypomina wakacyjną fotoopowieść z „Bravo”. Głębszego sensu trzeba naprawdę się doszukiwać i tu pojawia się moje pytanie: czy to dobrze, czy to nie jest przypadkiem podcinanie skrzydeł tekstowi?

Mój pierwszy wniosek po obejrzeniu „W.B.”, to przekonanie, że sztuka jest poświęcona kwestiom wychowania i dojrzewania. Dopatruję się konfliktu pokoleń, zaściankowości, ale na przykład zagadnienie aborcji odnajduję dopiero w którejś recenzji i po gruntownych przemyśleniach przyznaję rację recenzentowi.

Pogratulować można kreacji aktorskiej Agnieszce Pawlak. Najlepszym dowodem na to, że dobrze wykonała swoją pracę, jest fakt, że kiedy spotkałam się z panią Pawlak już po przedstawie-

niu, byłam zaskoczona, że jest tak młoda. Na tyle sugestywnie zagrała matkę dorastającej córki (oraz matkę dorastającego syna), na tyle prawdziwa była w roli zaściankowej niemal Dulskiej (oraz z lekka żalostnej podstarzałej kobiety, kokietującej kolegę syna), że magia teatru zadziałała, wbrew logice i własnym oczom nie ufając, „kupiłam” tę wiarę w podeszły wiek pani Pawlak. Potrafiła ucieleśnić purytańskie zasady, hipokryzję i wszystkie błędy, popełniane przy wychowaniu córki.

Adepci sztuki występujący w przedstawieniu: Paulina Fonferek, Sara Szymczak, Leszek Spychała, Michał Wulczyński też dobrze się spisali, historyczny śmiech Agnieszki Gizy, odtwórczyni Wendli, chodził za mną jeszcze przez kilka dni.

Dobry tekst i zaangażowana załoga, to jak widać nie jest przepis na sukces. Zaburzenia w przekazie, zamazany obraz problemu, spłytenie, na przemian z przesadnym zagmatwaniem – to cios, którego Frank Wedekind mógł się nie spodziewać, cios, który trafia przede wszystkim w widza, któremu koło nosa przechodzi naprawdę dobry kawałek teatru.

„W.B.”, na podstawie „Przebudzenia się wiosny” Franka Wedekinda w tłumaczeniu z epoki, opracowanie tekstu, reżyseria i opracowanie muzyczne Jacek Jabrzyk. Scena Margines. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Premiera 06.10.2007.

34  
online portrait

www.portret.org.pl